POLSKA WALCZĄCA

ŻOŁNIERZ POLSKI NA OBCZYŹNIE

FIGHTING POLAND — WEEKLY FOR THE POLISH FORCES — PRICE TWOPENCE

Wychodzi co tydzień. **Dnia 16-go sierpnia 1941r.** **Rok III. Nr. 33**

CZY POWTÓRZY SIĘ ROK 1918?

Po ataku niemieckim na Sowiety wskazywaliśmy na tym miejscu, jak bardzo sytuacja obecna przypomina rok 1917. W roku 1941 Niemcy tak, jak i wówczas, odraczają na później rozstrzygającą rozgrywkę na froncie zachodnim, tak jak i wówczas pokładają wielkie nadzieje w wojnie przeciw żegludze alianckiej na Atlantyku, licząc, że przez topienie transportów unicestwią pomoc amerykańską, niezbędną dla Sprzymierzonych. Tak, jak i wówczas wreszcie uderzają na wschód, aby móc później skupić wzystkie siły do ataku na zachodzie, jak również, aby uzyskać na Ukrainie i na Kaukazie zaplecze, zdolne zrównoważyć pomoc amerykańską dla Aliantów. Tak, rok 1941 niemal do złudzenia przypomina rok 1917.

Ale w takim razie narzuca się niemal automatycznie uwaga następująca: Jeżeli powtarza się teraz rok 1917, to w roku przyszłym powinniśmy przeżyć ponownie rok 1918. Ba, skoro wypadki biegną teraz szybciej, niż przed ćwierćwieczem, wydarzenia roku 1918 powinny by się powtórzyć już niezadługo.

Czy wniosek taki jest uzasadniony? Czy są objawy, że historia powtarza się? Aby na to pytanie odpowiedzieć, trzeba przede wszystkim jasno zdać sprawę z istoty wypadków roku 1918.

Byłoby bowiem wielkim uproszczeniem sądzić, że rok 1918 był po prostu rokiem zwycięstwa zbrojnego Aliantów nad Niemcami. Zwycięstwa bywają rozmaite i wojnę światową Alianci mogli wygrać też w rozmaity sposób. W pamiętnikach wojennych Winstona Churchilla znajduje się taki, wysoce charakterystyczny i szczególnie dziś może aktualny ustęp:

"Końcowe zwycięstwo wydawało się pewne. Ale jak ono nastąpi i czy przyjdzie w r.1919 czy w 1920, czy później były to zagadnienia zbyt oderwane, by dyskutować je pośród palących potrzeb dnia bieżącego. Jeszcze mniej odważał się ktokolwiek wierzyć, że pokój nastąpi w r.1918. Gdy jednak czasem zadawano sobie to pytanie, od razu wyłaniała się sprawa: Czy Niemcy załamią się nagle tak jak po Jenie, czy też będą walczyć do końca, jak Francuzi za Napoleona? . . . Czy będziemy mieli rok wojny nad Renem, marsz na Berlin, pobicie armii w polu, czy też nastąpi spazm nerwowy, przemożne i niemal powszechne uznanie klęski i wszystkiego co z klęski wynika? Zawsze wyobrażaliśmy sobie, że będzie to Jena. Ale wszystkie nasze plany były obliczone na możliwość długotrwałego oporu."

Istotnie dowódcy wojsk sprzymierzonych przygotowawali wielką ofensywę pancerną na rok 1919 — ofensywę na wskroś nowoczesną, w której miało wziąć udział 10,000 czołgów. Do ofensywy tej nigdy nie doszło, gdyż Niemcy—jak się tego po cichu spodziewano—załamały się stosunkowo szybko. Skapitulowały w chwili, gdy bynajmniej jeszcze nie były zwyciężone w polu. W listopadzie 1918 teoretycznie Niemcy byli w stanie walczyć jeszcze długo, bronić się na linii Renu, zadać przeciwnikowi poważne straty. Ale nerwy narodu i wojska nie wytrzymały. Wielka wiosenna ofensywa Ludendorffa spowodowała straszliwe wykrawienie się Niemiec. Jej niepowodzenie odebrało Niemcom wiarę w zwycięstwo.

Jednocześnie co raz żywszy udział Ameryki uświadamiał Niemcom, że w żadnym razie wygrać nie mogą. Głód—rezultat blokady—paraliżował wolę wytrwania. A że umysł niemiecki jest logiczny, to gdy Niemcy raz doszli do wniosku, iż nie zdołają zwyciężyć, ich załamanie stało się nieuniknione.

Historia roku 1918, to historia załamania się Niemiec zanim jeszcze spotkała je decydująca klęska na polu bitwy.

I gdy teraz zastanawiamy się nad tym, czy powtórzy się rok 1918, to pytanie to jest równoznaczne z pytaniem, czy możliwe jest znowu załamanie się Niemiec zanim armie niemieckie zostaną rozgromione w polu.

Nie brak optymistów, zwłaszcza wśród społeczeństwa brytyjskiego, którzy są przekonani, że Niemcy załamią się znowu, zwłaszcza jeżeli będą wytrwale i na wielką skalę bombardowane. Drugi natomiast obóz głosi, że nawet najpotężniejsze bombardowania nie wystarczą i że Niemcy będą musiały być pobite w polu w wyniku wielkiej ofensywy, którą trzeba będzie przeprowadzać na kontynencie. Oczywiście tylko przyszłość może dać odpowiedź, kto ma słuszność. Obecnie można jedynie omówić argumenty przemawiające za jednym lub drugim poglądem.

Niewątpliwie nie brak objawów, że Niemcy — zarówno ludność cywilna, jak i wojsko— mogą załamać się. Niemcy liczyli na szybkie zwycięstwo, które im zresztą Hitler obiecywał. Teraz gdy nadzieje te ulatniają się, zawód jest wielki. Tracąc nadzieję szybkiego zwycięstwa, Niemcy zarazem przestają wierzyć w zwycięstwo w ogóle. Żaden bowiem Niemiec nie jest w stanie wyobrazić sobie zwycięstwa niemieckiego w wojnie na przetrzymanie, zwłaszcza gdy St. Zjednoczone co raz wydatniejszy biorą w niej udział. Niemcy nie zapominają, że przystąpienie Ameryki przeważyło szalę w wojnie poprzedniej.

Naród, który traci wiarę w zwycięstwo, jest narodem bliskim załamania. Co więcej, Niemcy nie są narodem, którýby wytrzymywał nerwowo systematyczne, niszczycielskie bombardowania. Gdy przyjdzie zima, gdy noc w noc RAF będzie pustoszył miasta niemieckie, gdy przyjdzie całe noce spędzać w zimnych, nieopalanych piwnicach, gdy zdezorganizowane nalotami koleje przestaną dowozić nawet obecne skromne racje żywności, naród niemiecki będzie może miał dość wojny.

A żołnierz niemiecki? Prawdopodobnie co raz mniej rozumie on, w imię czego krew przelewa, dlaczego każą mu walczyć ze wszystkimi narodami Europy. Czuje on jak bardzo jest znienawidzony przez narody, które przyszedł "wyzwalać" i uszczęśliwiać swoim "nowym ładem." Wie doskonale, że uciemiężone kraje pragną tylko jednego: pomścić swe krzywdy. Gnębi go troska o rodzinę w bombardowanych miastach. A gdy jeszcze jest świadkiem, jak RAF pokonuje Luftwaffe w przestworzach—i on traci nadzieję zwycięstwa.

Wytwarzają się powoli warunki podobne do tych, z których zrodziło się załamanie Niemiec w roku 1918. Ale jest także wiele czynników, które nie pozwalają oczekiwać, by Niemcy załamały się zanim nie poniosą druzgocącej klęski w polu.

Przede wszystkim dzisiejsze Niemcy różnią się od Niemiec cesarskich. Wówczas nie było Gestapo. . . . W państwie totalnym nawet wielkie niezadowolenie ludności nie może znaleźć wyrazu. Niemcy nie mogliby otwarcie zbuntować się, nawet gdyby chcieli.

Należy także pamiętać, że Niemcy nie mają niemal nic do stracenia. Pamięć roku 1918 i lat następnych—gorzkich lat klęski—jest jeszcze żywa w narodzie niemieckim. Pamięta on inflację, bezrobocie, nędzę i zdaje sobie sprawę, że teraz byłoby jeszcze gorzej. Toteż nawet straciwszy nadzieję w zwycięstwo, jeszcze nie pogodzi się od razu z klęską. Będzie łudził się, że jeżeli przetrzyma możliwie długo, W. Brytania zmęczona wojną i bombardowaniami, pójdzie na jakiś pokój, "kompromisowy." Będzie się, być może, kurczowo trzymał tej idei, choćby wciąż na nowo przekonywał się, że nadzieje są złudne i bezpodstawne.

Jeśli naród niemiecki niewiele ma do stracenia, to tym mniej ma Hitler. Wie on doskonale, że nie może nawet, jak Wilhelm II, schronić się do jakiegoś kraju neutralnego i tam spokojnie dokonać żywota. Gdy nadejdzie dzień decydującej klęski, Hitler popełni samobójstwo. Ale nie skapituluje on nigdy, będzie walczył do ostatka, nie cofnie się przed niczym. Prędzej czy później spróbuje gazów, ucieknie się zapewne do wojny bakteriologicznej. Atakiem mikrobów na porty i statki będzie próbował przerazić W. Brytanię widmem zakażenia dowożonej żywności, głodu, epidemii.

Wszystko to sprawia, że na załamanie Niemic i powtórzenie się roku 1918 liczyć nie można. Wolno oczywiście mieć nadzieję, że nerwy niemieckie nie wytrzymają—tak, jak spodziewali się tego Sprzymierzeni podczas poprzedniej wojny. Ale przygotowywali się oni jednocześnie do rozstrzygnięcia wojny w polu, do wielkiej ofensywy lądowej, do kampanii w 1919 i 1920 roku. Tym bardziej muszą się Sprzymierzeni przygotowywać do rozstrzygającej walki na lądzie teraz, gdy sytuacja jest o tyle inna niż przed 25 laty.

Aleksander Boray

NACZELNY WODZ WŚRÓD NAS



Niedawno Generał Władysław Sikorski zakończył kilkudniowy pobyt wśród oddziałów polskich w Szkocji. Nie była to zwykła inspekcja. Były to odwiedziny w momencie doniosłym, w momencie, w którym zapadły ważne decyzje i otwarły się nowe perspektywy przed całą zbiorowością polską.

Powtarza się to już po raz drugi. Przed paru miesiącami, wracając z płodnej podróży po Ameryce Północnej, Generał Sikorski pierwsze kroki skierował w naszą stronę. Z nami, ze swoimi żołnierzami, chciał najpierw mówić o wynikach tej dalekiej, niebezpiecznej i niełatwej wyprawy, nadzieją, jaką z niej przyniósł, nas przede wszystkim wzmóc chciał w sile wytrwania i w woli walki.

Stało się teraz podobnie. Po podpisaniu układu polsko-rosyjskiego Naczelny Wódz zamieszał się na wiele powszednich dni pracy pomiędzy nas. Obcował z nami i uroczyście, gdy delegacje nasze witały go na małej stacyjce szkockiej, gdyśmy przed nim defilowali i nieuroczyście, gdy śledził nasze ćwiczenia polowe, posuwając się od punktu do punktu, badając szczegółowo następujące po sobie fazy operacji, w których uczestniczyły wszystkie rodzaje broni, gdy wreszcie przyglądał się zwykłej, codziennej zaprawie sportowej. Mówił do nas i z nami.

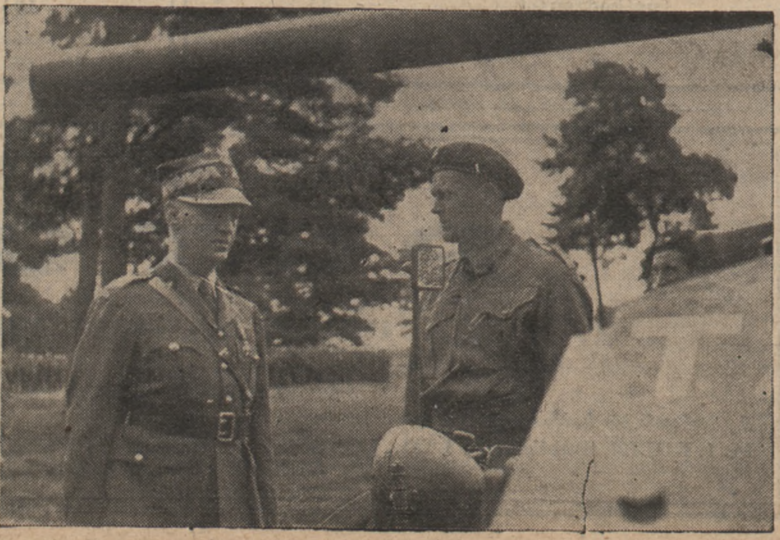
Mówił z nami o naszych, żołnierskich sprawach—o sprzęcie, na który długo czekaliśmy, i którego pragnęliśmy gorąco, o naszym życiu, o tęsknotach i nadziejach. Mówił do nas o sprawie najżywiej nas obchodzącej: o nowym układzie z Rosją. To co mówił musiało rozproszyć wątpliwości, jeśli istniały, co do znaczenia tego układu. "W tej umowie nie ma ani jednego słowa o ustąpieniu choćby piędzi ziemi na wschodzie" — stwierdził Generał w jednej z Brygad Strzeleckich. "Drażni niektórych słowo "amnestia," użyte w pakcie, lecz tylko tych, którzy tu żyjąc wygodnie i dostatnio, mają codziennie śniadanie, obiad i kolację, oraz wszystko to, co wygodne życie kulturalnego kraju dać może. Ale tych, którzy dziś, dzięki paktowi są zwolnieni i do ludzkich przywróceni warunków, taki prestige nic nie obchodził."

Jesteśmy wojskiem, które z natury swego składu, z natury swego charakteru i położenia ma wolę, prawo i obowiązek nawet żyć najgoręcej tym wszystkim, co dotyczy sprawy polskiej i walki o tę sprawę. Ale chcemy się strzec, rozumiemy, że jest to obowiązek niemniejszej wagi, uchylać się od politycznych przetargów, rozdźwięków i rozbić. Śledziliśmy pilnie wszystko, co się pisało i mówiło o naszym porozumieniu z Rosją. Słuchaliśmy z natężeniem tego, co o tym porozumieniu Generał Sikorski mówił do nas.

Pokładamy w nim żołnierską ufność. Zdając się na instynkt żołnierski, wierzymy, że układ stanowi otwarcie nowych możliwości, jest zmianą stanu naszej sprawy na lepsze. Wiemy, bez wątpliwości, że wyraża nasze najgłębsze przekonanie, bo wychodzi z założenia, iż "Niemiec to nasz wróg najgorszy, wróg najbardziej zacięty, wróg, którego niczem nie ugłaszcze się, wróg nr. 1."

W tej ufności, wierze, przekonaniu łączymy się z Naczelnym Wodzem. Wdzięczni jesteśmy za odwiedziny w tak ważnej chwili. Zobowiązani szczególnie tymi słowami: "To wszystko co Wam mówię, żołnierze, winno Wam dodać otuchy i chęci do dalszej pracy by w chwili, kiedy Niemcy zwrócą się na zachód—byliście gotowi walczyć, jak umie i powinien walczyć żołnierz polski."

Bo walka jest najważniejsza ze wszystkiego. Zawiera najgłębszą treść naszych zadań w tym okresie dziejów polskich. Stanowi sprawę najbardziej wspólną Wodza i nas, jego żołnierzy.



Wojna na morzu

OCEAN "SPOKOJNY."

Chmury nad Oceanem, niesłusznie zwanym "Spokojnym," nie tylko nie rozwiały się ale gęstnieją co raz bardziej. Jak było do przewidzenia po pierwszym kroku "na przód," którym było zajęcie baz w Indochinach i wojskowa okupacja tego kraju, nastąpiły ze strony Japonii kroki dalsze w postaci nacisku na Sjam, wysuwania nowych żądań "punktów oparcia" i bardzo podejrzanych ruchów floty japońskiej. Jednocześnie Japonia wstrzymała ruch statków towarowych i pasażerskich do Stanów Zjednoczonych i poleciła kapitanom statków japońskich znajdujących się na wodach Wielkiej Brytanii, Ameryki, Australii i innych dominiów brytyjskich powrócić do portów ojczystych. Pisma co dzień przepełnione są wiadomościami w rodzaju:

"Eskadra floty japońskiej ostatniej nocy opuściła Saigon w niewiadomym kierunku. Stało się to w parę godzin po oświadczeniu premiera Australii w jego wielkiej mowie w Adelaidzie, że Australia zbliżyła się do najniebezpieczniejszej godziny swojej historii" ("*Daily Mail*" z dn. 9.VIII.1941.)

"Japońska eskadra przebywająca w Saigonie od pierwszej chwili okupacji Indochin, opuściła ten port. Eskadra ta składa się z lotniskowca, ciężkich i lekkich krążowników oraz wielu kontrtorpedowców" ("*The Daily Telegraph*" z dn. 9.VIII.1941.)

Czy rzeczywiście wszytkie te alarmujące wieści, mowy i co najważniejsze fakty (okupacja baz morskich w Indochinach) wskazują na wojnę na Pacyfiku? Trudno odpowiedzieć na to pytanie, choć odpowiedź może nadejść każdej minuty. Trzeba być natomiast, jak to robią i Ameryka i Wielka Brytania, przygotowanym na każdą ewentualność. Ewentualność ta jest poważna. Nie można bowiem lekceważyć siły morskiej liczącej według zestawienia z września 1939: 13 okrętów liniowych, 12 ciężkich krążowników, 27 lekkich krążowników, 7 lotniskowców, 5 okrętów-baz dla lotnictwa morskiego, 112 kontrtorpedowców i 60 okrętów podwodnych. (Cyfry łącznie z okrętami będącymi wówczas w budowie, według książki "*All the World's Fighting Fleets,*" Lieut.-Commander E. C. Talbot-Booth, R.N.R.). Z flotą japońską należy porównać (według zestawienia z tego samego okresu) Marynarkę Wojenną U.S.A.: 23 okręty liniowe (łącznie z będącymi w budowie) 18 ciężkich krążowników, 19 lekkich krążowników, 6 lotniskowców, 234 kontrtorpedowce i 83 okręty podwodne.

Jak widać więc z tych cyfr (od których rzeczywistość aktualna może tylko niewiele odbiegać) flota japońska ryzykując ewentualne wystąpienie przeciw łącznym flotom amerykańskiej, brytyjskiej, rosyjskiej i holenderskiej (Indii Holenderskich) ryzykowałaby bardzo poważnie. Z drugiej zaś strony jakość sprzętu japońskiego i jej załóg prawdopodobnie dorównuje Sprzymierzonym.

BITWA O ATLANTYK

"W tej długiej i wielkiej bitwie straty brytyjskie są duże i bylibyśmy niezadowoleni, gdyby te straty były w dalszym ciągu takie same"—powiedział Mr. Attlee w swej wielkiej mowie w parlamencie, będącej pełnym przeglądem działań wojennych—"ale możemy spoglądać wstecz na dwa ubiegłe miesiące (czerwiec i lipiec) ze zrozumiałym zadowoleniem.

"Mogę powiedzieć, że nasz przywóz został utrzymany na zadawalającej wysokości, pomimo wszelkich wysiłków nieprzyjaciela, aby temu przeszkodzić. Nasze konwoje i konieczne zaopatrzenie przybywają w dalszym ciągu nieprzerwanie. Nieprzyjaciel nie mógł i nie zdołał pomiędzy 11 czerwca i 28 lipca ogłosić przez radio ani jednego pomyślnego ataku niemieckich okrętów podwodnych. . . ."

. . . "Trzeba też podkreślić, że w omawianym czasie działania ofensywne były po naszej stronie. Jako uzupełnienie działalności naszej Floty R.A.F. rozwinęła ożywioną działalność przeciw nieprzyjacielskiej żegludze. Lipiec był dobrym miesiącem pod tym względem. Na morzu Północnym i przy wybrzeżach Atlantyku zniszczyliśmy, uszkodziliśmy, albo wyłączyliśmy z akcji 69 statków nieprzyjacielskich o łącznym tonnażu 291,000 tonn, nielicząc drobnych, a bardzo licznych jednostek. Na Morzu Śródziemnym zatopiliśmy 23 statki o łącznej pojemności 167,000 tonn, gdy 31 innych statków zostało trafionych i ciężko uszkodzonych. Były robione również ciężkie ataki na okręty wojenne z zadawalającymi rezultatami.

"Łącznie, bez wliczania małych kutrów i innego drobiazgu, oraz bez wliczania okrętów wojennych, 459,000 tonn w 92 statkach zostało w tym czasie nieprzyjacielowi zatopionych, poważnie uszkodzonych, lub wyłączonych z akcji." . . .

Jak widać więc miesiąc lipiec 1941 r. jest pierwszym miesiącem bitwy o Atlantyk, w którym straty "osi" przewyższyły straty sprzymierzonych (450,000 tonn).

NA MORZU ŚRÓDZIEMNYM

Wszelkie znaki na "wodzie i na ziemi" wskazują, że na tym wielkim słonym jeziorze, zwanym Morzem Śródziemnym, zbliża się chwila nowego działania Sprzymierzonych. Czy to będzie nowa ofensywa w Libii (o której coś jest "za głośno"), czy jakieś działanie zaczepne wobec "ofiarnego kozła" Hitlera, jakim jest Italia, trudno przewidzieć. W każdym razie uważny obserwator łatwo mógł zauważyć jakieś zastanawiające krzątania, które tajemniczo są podkreślane przez prasę angielską, a co zdaje się bardzo denerwuje Niemców, mówiących o tej sprawie przez mikrofony *Deutscher Rundfunk* z nieukrywanym zaniepokojeniem.

Wielkie konwoje statków naładowanych "wszelkim dobrem wojennym" płyną na wschód. Jeden zaś z tych konwojów przeżył najgwałtowniejsze ataki, jakie zostały dokonane w tej wojnie na jakikolwiek konwój. Atakowano go z powietrza, spod wody i z nad wody (ścigacze) przez trzy doby kilkakrotnie. A pomimo to konwój dopłynął do miejsca przeznaczenia, wypełniając rozkaz: "konwój powinien przejść." Z eskorty tego historycznego konwoju zginął jeden kontrtorpedowiec brytyjski, o którego bohaterskiej śmierci "Polska Walcząca" już pisała. Straty w statkach transportowych były minimalne w stosunku do gwałtowności i siły ataku, a zawdzięcza się to przede wszystkim znakomitej działalności lotniskowca "Ark Royal" i jego samolotów. "Ark Royal" jest "okrętem widmem", ponieważ pan Goebbels zatapiał go nieprawdopodobną ilość razy.

Niemcy, wraz ze swym "ogonkiem włoskim," również nie zasypiają gruszek w popiele i starają się przeciwdziałać ożywionemu ruchowi Sprzymierzonych. Ostatnio więc były liczne bombardowania Aleksandrii, Port Saidu i samego Kanału Sueskiego, a Malta bombardowana jest dzień w dzień prawie. Samoloty "osi" nie pozostawiają również w spokoju Cypru. Wszystko to jednak są naloty raczej "demonstracyjne," bez większych strat czy zniszczeń dla Sprzymierzonych.

Poważniejsze ataki można zanotować jedynie na Maltę gdzie Włosi wraz z Niemcami próbowali zrobić kombinowany atak morsko-powietrzny na port Vallety. Atak nie powiódł się. Kilka ścigaczy włoskich zniszczyły baterie artylerii nabrzeżnej, inne zostały zatopione przez samoloty brytyjskie. Również zginęło parę Junkersów nurkujących, a strat w porcie Vallety nie było prawie żadnych. (Jedno z pism polskich, opisując ten epizod, raz jeszcze zrobiło szereg wynalazków morsko-wojennych. Czytaliśmy bowiem o jakichś "samolotach-torpedach," które zostały zniszczone przez baterie nabrzeżne (sic!), a które sądząc z dość chaotycznej treści, mogły i pływać po morzu (jak ścigacze) i latać w powietrzu (jak samoloty torpedowe, o które zapewne chodziło). Przydałoby się więcej dbałości w tłomaczeniu z angielskiego i przydałyby się . . .staranniejsze podpisy pod rycinami. Po słynnej bowiem fotografii z mesy "Pioruna" zatytułowanej: "Lotnicy polscy przed odlotem," ujrzeliśmy piękną fotografię z pokładu okrętu liniowego U.S.A. "Washington," z wielką banderą amerykańską na drugim planie i trafnym podpisem pod fotografią: "Na pokładzie nowego pancernika brytyjskiego "Prince of Wales." Przykłady te podaję jedynie, by zilustrować nasz stosunek do spraw morskich, o której to sprawie niejednokrotnie tutaj pisałem).

Podczas zmagań na Morzu Śródziemnym brytyjskie okręty podwodne storpedowały, a prawdopodobnie zatopiły piękny krążownik włoski klasy Condottieri (typ D) "Eugenio di Savoia" (7,283 tonn, 8 dział 6 calowych, 6 dział 3.9 calowych, 16 dział p.l., 3 samoloty z 1 katapultą, 6 wyrzutni torpedowych).

Z drugiej strony samolotom niemieckim udało się na Morzu Śródziemnym uszkodzić duży statek pasażerski brytyjski "Georgic" (27,759 tonn), który jednak o własnych siłach dopłynął do Aleksandrii. Żadnych wojsk na pokładzie "Georgica" nie było, jak to usiłowało wmówić słuchaczom radio niemieckie.

Z portów syryjskich odpływają regularnie statki rządu francuskiego Vichy, odwożąc do Francji stęsknionych rycerzy "Grande Armée d'Orient." Statki te płyną drogą ściśle określoną z pozapalanymi wszystkimi światłami, aby przypadkiem nie paść ofiarą czułych opiekunów niemieckich.

Parlament Brytyjski podkreślił rolę jaką odegrała Brytyjska Marynarka Wojenna w opanowaniu Syrii. Słabe siły lądowe Sprzymierzonych nie opanowałyby prawdopodobnie tego ważnego ze względów strategicznych kraju, gdyby nie bardzo skuteczna blokada Floty brytyjskiej i jej pomoc, nie tylko przez wysadzanie desantów, lecz również przez akcję czynną dział okrętowych, które brały udział w walkach toczonych na pobrzeżu Tyru, Sydonu i Beyrutu.

TAJEMNICE BAŁTYKU

W wielkich zmaganiach Niemców z Rosją Sowiecką dosyć tajemniczo wyglądają działania na Bałtyku. Obie strony w swoich komunikatach z uporem twierdzą coś zupełnie przeciwnego i obie strony, według tych komunikatów, zadają przeciwnikom, dotkliwe straty—sami nie ponosząc żadnych.

Zdaje się jednak nie ulegać wątpliwości, że Niemcom na tym odcinku morskim nie powodzi się zbyt dobrze. W każdym razie nie osiągnęli na morzu żadnej znaczniejszej przewagi, a tracą natomiast dużo własnych jednostek. Źródła sowieckie podają, że do tej pory bolszewicy zatopili Niemcom na Bałtyku łącznie: 9 kontrtorpedowców, nie mniej, niż "kilkanaście" okrętów podwodnych i dużą ilość okrętów patrolowych, okrętów pomocniczych, ścigaczy, trawlerów i t.p. Jak pisze angielski "Daily Telegraph," doskonale zazwyczaj poinformowany w sprawach morskich i bardzo starannie redagujący ten dział, że jeśli chodzi o "kontrtorpedowce," mowa tu zapewne o torpedowcach niemieckich (starego typu—mój dop.) po 600 do 800 tonn każdy.

W każdym razie bolszewicy trzymają mocno w swoich rękach bazę w Hangö, a nawet desantem zdobyli dwie wyspy fińskie w pobliżu, a tym samym szachują wejście do Zatoki Fińskiej, nie pozwalając na zaatakowanie bazy morskiej w Kronsztadzie (Leningrad) od strony morza. (Że to jest możliwe dowiodły tego ścigacze angielskie w roku 1919.)

SKUTKI I PRZYCZYNY

Ogólny więc obraz na morzach świata, jeżeli nie jest pomyślny całkowicie to bynajmniej nie jest zły. Na niektórych przestrzeniach, i to jak na razie na najbardziej ważnych (Atlantyk), są wszelkie dane do zdrowego, rozważnego optymizmu. Nie łatwo jednak do tego doszło i jeszcze wiele będzie trzeba przeżyć ciężkich i groźnych chwil na morzu, nim ten "zdrowy optymizm" usprawiedliwi się całkowicie. Dużą poprawę na tym "odcinku" zawdzięcza się nie tylko wspaniałej walce Marynarek Wojennych brytyjskiej, polskiej, holenderskiej (doskonałe okręty podwodne), norweskiej i Wolnej Francji, ale i zdecydowanemu postępowaniu Prezydenta Roosevelta, którego działalność zaczyna przynosić pierwsze owoce. Droga z Islandii do Stanów Zjednoczonych stała się znacznie bezpieczniejsza i nie na darmo na tej "chłodnej wyspie" wylądowały nowe kontyngenty wojsk amerykańskich.

Śmiało można powiedzieć w skrócie: Ocean Spokojny i Atlantyk to Wielka Flota Brytyjska i Stany Zjednoczone Ameryki Północnej.

Londyn 9 sierpnia 1941 r.

Bohdan Pawłowicz

ROCZNICA BITWY WARSZAWSKIEJ

Nie było by to napewno dowodem odwagi ani żołnierskiej, ani cywilnej, gdybyśmy się wahali wspomnieć rocznicę bitwy warszawskiej z tej tylko przyczyny, że ówczesny nasz przeciwnik jest dziś z nami w jednym obozie walczących. Nie z przemilczeń tworzy się zgoda z innymi. I nie z pustych przechwałek tworzy się siła własna.

15 *sierpnia* 1920 *roku—tak jak go dziś widzimy, z perspektywy dwuletniej wojny, z brzegów tej wyspy gościnnej i niezłomnej—jest dla nas przede wszystkim rocznicą zwycięstwa nad sobą. Rocznicą dnia, w którym uratowaliśmy wspólne nasze, dopiero co odzyskane dobro wspaniałym odruchem solidarności zbiorowej, podporządkowaniem siebie "rzeczy pospolitej," tak powszechnym, tak bezapelacyjnym, jakie miał dopiero powtórzyć wrzesień* 1939 *roku.*

W pamiętnym sierpniu ta solidarność wyraziła się w dwu symbolach i w dwu realnych siłach: Rządzie Jedności Narodowej pod przywództwem Wincentego Witosa i Armii Obrony Narodowej, w olbrzymim procencie ochotniczej, pod wodzą Józefa Piłsudskiego. Sharmonizowanie tych dwu sił było podstawą zwycięstwa, ono było istotnym "cudem" dni owych, ono jest dziś i będzie zawsze—wzniosłym, wymownym, zobowiązującym sensem tej rocznicy, wśród rocznic polskich jednej z najbardziej radosnych i żywotnych.

Zawsze, a szczególnie w tych ciężkich tygodniach, miesiącach i latach my żołnierze czujemy się sługami zjednoczonej, skupionej, zgodnej woli narodu. W niej jest nasza siła, nakaz i sens każdej ofiary. Tę świętą Wolę Narodu—wolę przetrwania i wolę zwycięstwa, wolę przetrwania w nas i wolę zwycięstwa przez nas żołnierzy, czcimy w sierpniową rocznicę zwycięskiej bitwy o Warszawę, zwycięskiej bitwy o Polskę.

Aleksander Janowski

DZIAŁALNOŚĆ LOTNICTWA POLSKIEGO W WIELKIEJ BRYTANII

za czas od 1-10 sierpnia 1941 r.

Lotnictwo myśliwskie	Lotnictwo bombowe	
Ilość zestrzelonych samolotów nieprzyjaciela: pewnych — 1 uszkodzonych — 4 prawdopodobnych — 4	Ilość wypraw: 10	Łączna ilość samolotów: 57
	Główne cele: Frankfurt n/Menem, Karlsruhe, Cherbourg, Hamburg, Essen.	
Razem od czasu przybyciado Anglii do 10.VIII.41r.		
zestrzelono samolotów nieprzyjaciela: pewnych — 323 prawdopodobnych — 89 uszkodzonych — 33 445	Ilość wypraw: 194	Łączna ilość samolotów: 943

Cenne ostrzeżenie

Dla wielu Polaków wstępny artykuł umieszczony w "Timesie" dnia 1 sierpnia musiał być niezwykle przykrą niespodzianką. Artykuł ten mówił o przyszłości Europy. Na wstępie stwierdzał, że "autorowie traktatu wiedeńskiego z roku 1815 mniej się przejmowali uczuciami i mniej się liczyli z oderwanymi ideałami, aniżeli ci, którzy zawierali pokój w Wersalu. A jednak ich urządzenie Europy było trwalsze, albowiem było oparte na lepszej ocenie stosunku sił głównych mocarstw europejskich. Żaden pokój, który nie jest oparty na rzeczywistości potęgi nie może być trwały."

W dalszym ciągu artykuł, wychodząc z założenia, że Wielka Brytania i Stany Zjednoczone urządzą kontynent europejski ostrzega, że zapewne ani Stany, ani Wielka Brytania nie będą gotowe do użycia siły, ażeby utrzymać raz ustalony porządek europejski i żąda, aby wobec tego nie lekceważyć interesów innych wielkich mocarstw.

Zdaniem "Timesa" Europa Wschodnia może jedynie istnieć albo pod w pływem Rosji, albo Niemiec. Wobec tego, że dziś Niemcy są wrogiem, "Times" nie proponuje hegemonii niemieckiej, a uważa za konieczną i pożądaną hegemonię rosyjską. Jednakowoż z tekstu artykułu domyślnie wynika, że przyszły pokój powinien być taki, by i Niemcy go przyjęły z zadowoleniem.

Czytelnik polski, nieobznajmiony ze stosunkami brytyjskimi musi przetrzeć oczy ze zdumieniem i zapytać, czy to istotnie w drugim roku wojny czołowe pismo angielskie ignoruje zupełnie istnienie Polski i widzi na terenie centralnej i wschodniej Europy jedynie dwa wielkie mocarstwa: Rosję i Niemcy, którym obu trzeba dogodzić.

Nie miejsce jednak na reakcję uczuciową. Należy się postarać o zrozumienie. I wtedy artykuł "Timesa" stanie się dla nas cenny—cenny jako ostrzeżenie.

Niewątpliwa głęboka popularność wojska polskiego w Szkocji, zasłużone pochwały i zachwyty nad lotnictwem polskim, które znajdujemy w prasie angielskiej wyrobiły w większości z nas przekonanie, że nie tylko Polacy są w Anglii popularni, ale że istnieje tu już dzisiaj zrozumienie dla sprawy polskiej. Większość z nas jest przekonana, że bohaterska walka wojska polskiego w pamiętnym wrześniu, która dziś po kampaniach norweskiej, francuskiej i greckiej wygląda zgoła inaczej niż w roku 1940—że niezachwiana postawa narodu polskiego, jedynego narodu, który nie wydał Quislinga, mówią tak głośno same za siebie, że wszelki wysiłek polityczny staje się prawie zbędny.

Jest to niestety złudzenie. Podziw dla waleczności Polaków nie jest bynajmniej równoznaczny z uznaniem politycznych żądań Polski, nie przekreśla tego faktu, że w tym gigantycznym zmaganiu się dwu światów, jakim jest wojna obecna, Polska—choć to od niej ta wojna się zaczęła—jest jedynie fragmentem, i to nie najważniejszym.

Walka toczy się o świat nowy. Toczy się ona jednak nie tylko na polach bitwy, nie tylko między demokracjami i faszyzmem, ale i w łonie samych demokracji. Dzień 3 września 1939, dzień, w którym Francja i Anglia wypowiedziały wojnę, nie przekreślił ani w Francji, ani w Anglii tych elementów, które były związane ze starym światem, światem nie z roku 1938 nawet, ale światem z roku 1913. W tym starym świecie istniały wielkie mocarstwa, dyktujące swą wolę i małe narody, a nawet państwa, które nie miały nic do powiedzenia. Neville Chamberlain, gdy w roku 1938 mówił o niedorzeczności, jaką byłaby walka o Czechosłowację: "mały daleki naród, o którym nic nie wiemy" był wyrazicielem tego świata.

I dziś są ludzie, którzy niczego się nie nauczyli i którzy dziś tak samo jak wczoraj rozumują kategoriami *power politics*, dla których równowaga Europy jest jedynie równowagą wielkich mocarstw (przy czym Francji się dziś już nie bierze pod uwagę). Są to koła bogate i wpływowe. Ale nie one jednak będą decydowały o pokoju, nie one będą decydowały o przyszłości.

Ujęcie "Timesa" jest dla nas w tym sensie jedynie ostrzeżeniem, że są w Wielkiej Brytanii ludzie, którzy dla Polski i jej spraw zrozumienia nie mają, ostrzeżeniem, że nie należy powtórzyć tu na gruncie londyńskim tego błędu, który się zrobiło we Francji, gdy starano się propagandę polską robić przez tych ludzi, dla których ona była jedynie dogodnym alibi, a którzy i przed wojną i po porażce związani byli z propagandą niemiecką, jak np. Henri Bordeaux i dzisiejszy minister sprawiedliwości Vichy Joseph Barthelemy.

Jest natomiast w tym artykule przypomnienie innego groźniejszego rodzaju. Czerwoną nicią przewija się myśl, że w gruncie rzeczy ani Wielką Brytanię ani Stany Zjednoczone—Europa, a w szczególności Europa centralna i wschodnia nic nie obchodzą, że po wojnie trzeba będzie powrócić do izolacjonizmu, który już nie będzie izolacjonizmem czysto brytyjskim—potęga Niemiec wykazała dowodnie w tej wojnie, że Wielka Brytania sama bez pomocy Stanów jest w położeniu nie mniej groźnym niż kraje kontynentu Europy—ale izolacjonizmem anglo-amerykańskim. "Unia krajów mówiących po angielsku" —oto hasło, które po wojnie będzie miało olbrzymie sympatie. Anglik przeciętny nie zna Europy i jej spraw. Wie tylko tyle, że dwa razy w ciągu dwudziestu pięciu lat musiał się bić, raz "o" Belgię, raz "o" Polskę. Każda więc możliwość, która mu pozwoli powiedzieć, jak chłopu ukraińskiemu: "Niczoho ne znaju, moja chata z kraju"—będzie miała dla niego olbrzymią siłę.

O tym, że odżegnanie się Anglii od spraw europejskich miałoby dla całego kontynentu europejskiego, a więc i dla nas, katastrofalne skutki nie trzeba chyba nikogo przekonywać.

Ten sam przeciętny Anglik jednak ma głębokie poczucie sprawiedliwości i bynajmniej nie jest głupi. Trzeba go tylko *uświadomić*. Wiem, że nie jest bynajmniej rzeczą prostą trafić do pism angielskich, a bodaj rzeczą jeszcze trudniejszą trafić bezpośrednio do kół angielskich i znaleźć z nimi wspólny język. Jest to jednak możliwe.

Co jednak jest ważniejsze to kierunek, w którym powinno pójść oddziaływanie. Dotychczas kładło się nacisk na męczeństwo polskie i na wkład polski do wspólnej walki. (Można by zresztą pospierać się o to, czy nie za dużo się kładło nacisku na pierwsze, a za mało na drugie.) Jest to ważna część propagandy, ale nie wystarczająca. To na co dziś specjalny nacisk kłaść należy—jak to nam artykuł "Timesa" wyraźnie wskazał—to na to, że chcąc nie chcąc losy Wielkiej Brytanii są nierozerwalnie złączone z losami kontynentu Europy, że granica jej biegnie nie Renem, jak to ongiś powiedział Baldwin, a wschodnimi granicami Polski. To, co trzeba tłomaczyć to, że podział kontynentu europejskiego na państwa nie jest podziałem dowolnym, ale koniecznym wynikiem istnienia różnych narodów (co oczywiście zgoła nie wyklucza szerokiego rozwiązania federalnego.) Hasłem naszym powinno być: "Wielka Brytania musi zostać w Europie."

Oddziaływanie w tym kierunku będzie ułatwione tym, że tego samego sobie życzą i Francuzi, i Holendrzy, i Belgowie, i Norwegowie. Naszym jednak specjalnym zadaniem jest niedopuszczenie do podziału Europy na wschodnią i zachodnią, na Europę A i B. To bowiem wprowadziło by w konieczny następstwie do tego, że Anglia powierzyłaby "uporządkowanie" tej Europy B Niemcom czy Rosji.

Zadanie jest ułatwione i przez to, że szereg czołowych mężów stanu brytyjskich jak np. minister Eden, czy minister Dalton sami to doskonale rozumieją. Anglią jednak rządzi opinia publiczna. Trzeba więc tej opinii publicznej trafić do przekonania. Jest to obowiązkiem nie tylko tych urzędów, które się tym oficjalnie zajmują: jest to obowiązkiem każdego z nas.

Artykuł "Timesa" powinien stać się dla nas dzwonkiem alarmowym.

Michał Prozor

Japonia wczorajsza i dzisiejsza /I/

Wanatabe-San żyje zamknięty na wyspach

Japonia pojawiła się na arenie polityki międzynarodowej bardzo późno. Kula ziemska była już upchana sztandarami i mało było albo i wcale nie było miejsca na nowe mocarstwo. Japończyków siłą zmuszono do przyjęcia nowoczesnej techniki i wzięcia udziału w międzynarodowym obrocie. Trzecim czynnikiem wreszcie o którym nie wolno zapominać mówiąc o Japonii jest fakt, iż mimo nowoczesnych zdobyczy Europejczycy nie przestali uważać Japończyków za "kolorowych." W Stanach Zjednoczonych nawet potomek japońskiej rodziny książęcej nie może zostać obywatelem przez sam fakt urodzenia się z rodziców japońskich.

W zdolnym, chorobliwie ambitnym i od stuleci ciężko uginiecionym przez system społeczny narodzie pociągnęło to za sobą niezwykle niebezpieczny kompleks niższości. Do tego doszedł mit o niezwyciężonym Wanatabe /odpowiednik jakiegoś przeciętnego nazwiska europejskiego, jak Smith, Silva, Dupont czy Kowalski/ i wpojenia poczucia samurajstwa—szlachetczyzny—w miliony chłopów japońskich. Hunn Mórz Południowych—tyran Korei i Formozy, nieludzki zarządca podbitych prowincji chińskich, był już tylko logicznym następstwem wymienionych składników. Europa walnie przyczyniła się tylko do sementowania ich w co raz groźniejsze widmo Żółtego Hitleryzmu przed narodzeniem słowa Hitleryzm.

* * *

W r. 1635, Szogunowie—marszałkowie dworu—z dynastii Tokugawa przejęli władzę w swoje ręce w Cesarstwie Japońskim. Cesarz—Tenno został odsunięty od cienia nawet bezpośredniego zarządu, stał się ubóstwionym symbolem wiecznie żyjącego narodu, instytucja pod ścisłym nadzorem agentów szogunatu. Pomogła im w tym legenda o pochodzeniu rodziny cesarskiej od bogini Kwan-Non.

Japonia była wówczas niezmiernie dokładnie rozczłonkowanym społeczeństwem feudalnym.

Poniżej cesarza stała liczna warstwa szlachty podzielonej na klasy, wielorzędna instytucja Samurajów zaopatrzona w herby, kolory rodzinne i zawołania. Samurajów obowiązywał kodeks postępowania — Bushido — obejmujący całokształt życia od obowiązków wobec monarchy i poddanych a skończywszy na przepisie, iż domy publiczne samuraj może odwiedzać tylko w obszernym, słomianym kapeluszu, zakrywającym twarz.

Poniżej stała kasta kupców, bankierów i lichwiarzy, uważana za nieczystą, gdyż obracała pieniędzmi. Samurajowi nie wolno było nie tylko dotknąć się monet, ale obowiązywała go niewiedza, jaki system monetarny obowiązuje w kraju.

Na samym dole budowli społecznej stała masa chłopów i niewielka ilość rzemieślników. Jedynym jej obowiązkiem było ślepe posłuszeństwo i miłość wobec swoich panów. Ci z kolei musieli być wobec wasali i poddanych łagodni, dobrotliwi i szlachetni. Wobec równych sobie, rycerzy japońskich obowiązywało kultywowanie własnego honoru.

Japończycy od zarania wieków niechętni byli cudzoziemcom, jak wszystkie narody wyspiarskie i górale całego świata. Japończycy dzięki ukształtowaniu swojego archipelagu są jednym i drugim. Marco Polo słyszał na dworze Kubłaj Chana o kraju Zipangu, położonym na krańcach świata, ale dopiero w połowie XVI-go wieku misjonarze chrześcijańscy zdołali przedostać się na wyspy. Po krótkim okresie czasu wytępiono ich i nowonawróconych z niezmiernym okrucieństwem. Było to całkiem zrozumiałe. Pismo Święte nie może być tolerowane w żadnym totaliźmie bez względu na to, czy jest on feudalny czy rasowy czy chamski.

W imię prawdy historycznej należy stwierdzić, iż na misyjnych terenach Dalekiego Wschodu w tamtych czasach Jezuici prowadzili zaciętą wojnę z Dominikanami i Franciszkanami o sposoby i metody nawracania. Nie było to budujące widowisko dla przyszłych nawróceńców i w skutkach przyczyniło się do przyspporzenia Kościołowi na terytorium Japonii świętych męczenników.

Po wypędzeniu misjonarzy Europejczycy wzbudzali w państwie Wschodzącego Słońca nie tylko nienawiść, ale i pogardę. Oto bowiem kupcy europejscy chętnie przystali na deptanie Krzyża—symbolu Europy w oczach japońskich—wzamian za koncesje handlowe.

Tokugawa nie zmienili w niczym instytucji feodalnych i wyspiarskich antypatii. Usystematyzowali je tylko, usprawnili i unowocześnili. Odtąd samuraj, wybierając się na zamordowanie sąsiada, który go zelżył, musiał wypełnić specjalny formularz i wysłać go do jednego z setek tysięcy urzędników wraz z drobną opłatą. Chłopom ścinano głowy za najlżejsze nieposłuszeństwo, ale wynagradzano pieniężnie za skuteczny i udokumentowany donos. Tu trzeba przypomnieć, iż wówczas Japończycy dusili się na przeludnionych wyspach.

* * *

Cztery główne wyspy Archipelagu Japońskiego: Hokkaido, Honszu, Szikoku, Kyuszu i plejada mniejszych są nieurodzajnym, kamienistym parawanem chroniącym Chiny od przeciągów północnego Pacyfiku. Kiedy "boska rasa Jamato," jak o sobie mówią Japończycy, przybyła na wyspy, mało co innego prawdopodobnie tam rosło poza cudownymi dekoracyjnymi sosnami o długich, jedwabistych szpilkach.

Historia Japonii to dzieje walki z głodem. Wysiłek ludności w pierwszym rzędzie szedł ku zapewnieniu nie bogactwa i potęgi, ale po prostu obrony przed śmiercią głodową. Była to tym bardziej dramatyczna walka, iż z wysp nie było można uciekać. Japończycy podczas nieurodzaju nie mogli, jak Tatarzy, osiodłać koni i szukać lepszych pastwisk. Umierali na miejscu. Tym bardziej, iż głównym ich pokarmem był ryż—szczególnie trudny do hodowania w Japonii.

Mimo to rasa japońska—wbrew prawu o automatycznym wygasaniu niedożywionych narodów—była i jest niezwykle płodna. Za feodalizmu wypadki dzieciobójstwa, sprzedawania córek i t.d. mnożyły się nagminnie. Samobójstwo było ustaloną instytucją. Nic dziwnego. Najmniejszy skrawek gruntu był zabudowany i zamieszkały.

Szogunowie ulegalizowali ten stan. Ludność Japonii ustalono na 25 milionów, co jest olbrzymią cyfrą w okresie przed narodzeniem przemysłu chemicznego, stosowanego w aprowizacji. Nadkontyngent noworodków mordowało państwo. Było to logicznym następstwem zakazu opuszczania pod karą śmierci przepełnionego kraju.

Życie w ścisku możliwe jest tylko przy bezwzględnym zastosowaniu się wszystkich do określonych reguł i społecznym napiętnowaniu wyskoków indywidualizmu. Tak więc surowe Bushido zakazywało szlachcie pod grozą publicznej wzgardy—a za Szogunów ciężkich kar—wszelkiej zewnętrznej wystawności. Samuraj musiał być skromny w ubraniu i mieszkaniu. Surowość arystokratycznych domów jest zdumiewająca. Pałac cesarski wzniesiony jest z niebielowanych cedrowych desek i okrąglaków.

Najbogatszy samuraj nie miał gdzie i jak używać swego bogactwa — między papierowymi ścianami wewnętrznymi nieopalanych zamków mógł tylko gromadzić dzieła sztuki. Tym sposobem narodziły się cudowne bronzy, laki i obrazy starojapońskie, noszące na sobie stempel sztuki dworskiej, arcydzieł na zatwierdzenie.

Bieda obowiązywała wyższe sfery i w jedzeniu. Ryż, surowa ryba, sosy i przystawki ze skrzel rekina. No, i dużo gorącej herbaty. Chłop nie miał nic innego do jedzenia, samuraj musiał to jeść.

Jak się zdaje Szogunowie zdawali sobie sprawę iż feudalno-totalitarny system, oparty i dozorowany przez armię szpiegów, nie jest wykwitem geniuszu narodowego, a sprytnie pomyślanym systemem czy kawałem rządów. Pałace ich w każdym bądź razie błyszczą od złoceń szkarłatnych, niebieskich i czarnych. Pokoje są wyłożone dywanami i zastawione sprzętami. Tradycja mówi poza tym, iż jadali oni doskonale.

Istnieje dużo dowodów na poparcie powyższej tezy. Japończycy od setek pokoleń siedzą na skrzyżowanych nogach i nieodmiennie skarżą się na strzykania w kolanach. W krajach lepiej wyposażonych w żywność gdzie oni bez wyjątku znacznie pożywniejsze potrawy europejskie czy amerykańskie. W New Yorku, Londynie, Paryżu i innych ośrodkach międzynarodowych, gdzie istniały kolonie Japończyków, prosperowały wprawdzie restauracje chińskie gdzie można było dostać lakierowaną kaczkę a la Pekin i nieznane w Chinach *chop-suey* i *chow-min*, nie było prawie japońskich zakładów gastronomicznych.

Można przytoczyć inny przykład. Codzienna kąpiel we wrzątku jest wskazana w krajach, gdzie sąsiad siedzi sąsiadowi nieomal że na karku. Człowiek bowiem obok skunksa jest jednym z najbardziej śmierdzących istot. Zdawało by się, iż Japończycy mieli czas na przyzwyczajenie się i do wrzątku i do późniejszego chłodzenia się w lekkich, bawełnianych kimonach na gołe ciało—jak to nakazuje tradycja. Tymczasem w Japonii zapalenie płuc stoi na naczelnym miejscu wśród chorób śmiertelnych. Podobnych niewspółmierności i paradoksów jest mnóstwo.

Przeciętny więc Japończyk, Wanatabe-San, od tysięcy lat mieszkał w tłoku fizycznym i duchowym, pośród papierowych ścian, za których stale mu ktoś zaglądał i do garnka z ryżem i pod twardą i niewygodną matę, na której śpi. Wanatabe-San przyzwyczaił się do tego wszystkiego w tymże samym stopniu co murzyni Ekwatorialnej Afryki do muchy tse-tse. Nie znosi jednak tego.

Stąd też Wanatabe-San, nie umiejąc zorganizować życia, zorganizował śmierć. Nie dlatego, żeby jej się nie bał i pragnął, ale dlatego, iż miliony i miliony jego rodaków obrzydza mu życie i wymaga przez cały swój system, żeby pięknie skończył żywot. Skakanie do wulkanu, płatanie brzucha i wieszanie są też staro-japońskimi zwyczajami. Wanatabe-San nie przyzwyczaił się do nich. Ale musi przestrzegać ich, tak jak czerwonoskórzy Indianie, najbardziej histeryczny i nierównoważony z rodzajów ludzkości, tresowali siebie stulecia całe na kamienną twarz nieczułą na ból.

Wanatabe-San, jak i Indianie, jest wobec powyższego przeczulonym, nerwowym, wrażliwym i głęboko nieszczęśliwym człowiekiem i dlatego chętnie płacze. Prasa europejska podkreślała z czymś w rodzaju uznania, iż Matsuoka opuszczając Ligę Narodów gorzko płakał—jak to bywało "Macchiavelli Wschodu" po prostu zgrywał się w myśl ustalonych tradycyj. Na przedstawieniach klasycznych dramatów "Kabuki" aktorzy i widzowie, stare i siwe chłopy, zarykują się jak bobry z nadmiaru czułych wzruszeń. W życiu czasami Bushido nie pozwala płakać. Wtedy, jak to opisuje jeden z europejskich podróżników, Japończyk wyjeżdża w odosobnione miejsce, gdzieś w góry lub nad morze. "Brzuch mu twardnieje" ze złości i umiera.

Marian Synkowski

DRUGA NAGRODA
w konkursie fotograficznym "Polski Walczącej"

Waldemar Arnolt (Hasło: "Amator X")
"Polska w Szkocji"















Wspomnienia z obrony Warszawy

Wspomnienia te poświęcam tym, którzy polegli w walce o honor lub wytrwali w tej walce do końca.

I.

Ranek 12-go września w środkowej Polsce był wyjątkowo piękny. Błękitne niebo było zupełnie niezachmurzone. Resztki rosy i mgły znikły już o godzinie ósmej. Słońce, nasze polskie jesienne, zalewało ciepłymi promieniami łąki i lasy, zwiastując ciepły, pogodny dzień wrześniowy. Niestety ta błogosławiona polska jesień, te pogodne strumienie ciepła, ten cichy majestat jesieni —niebo całe zawiodło nas, szeroko otwierając powietrzne szlaki nad Polską i jak gdyby zapraszając hordy zbrodniarzy do wykonywania woli jednego psychicznie chorego maniaka.

O godz. 8-ej III Batalion 80 Pułku Piechoty wchodził na peryferie Pragi. Od 1-ego września przez dwanaście dni Batalion znaczył krwią i mogiłami swoich żołnierzy szlak Mława —Płońsk — Modlin — Jabłonna i oto teraz 12-ty raz z rzędu, zamiast modlitwy porannej posyłał w górę straszliwe przekleństwa. Wchodził do Pragi jako straż tylna 20-ej Dywizji Piechoty. Za Batalionem w odległości 5-7km, jak tchórzliwa hiena posuwał się czołowy niemiecki oddział. Od Jabłonny szliśmy zupełnie spokojnie. Żołnierze byli zmęczeni bitwą pod Jabłonną w dniu poprzednim a następnie całonocnym marszem i brakiem snu.

Mimo to ponaglałem kolumny, aby do następnego nalotu Niemców być już wśród zabudowań. Było to jednak niezmiernie trudne. Batalion z trudem przepychał się w potrójnym rzędzie wozów, armat, samochodów, pontonów i biedek. Przed każdą zaporą przeciwczołgową ta rzeka sprzętu i ludzi tworzyła fantastyczne kłębowisko i zatory. Toteż ostatnie kilometry szliśmy na przełaj polami.

Lecz oto i Praga. Ostatni raz byłem na Pradze jakieś 10 lat temu. Uderzył mnie wspaniały rozrost tej dzielnicy, lecz i . . . straszliwe spustoszenie . Wszędzie stały 4-5 piętrowe domy, których dawniej nie widziałem, wszędzie ładne jezdnie, nowoczesne oświetlenie, lecz . . . wszystko zniszczone. Domy świeciły pustymi otworami okien, gdzie niegdzie wiatr powiewał firankami. Rozwalone ściany, straszliwe dziury w ocalałych, wywrócone latarnie, morze szkła na jezdniach. Na chodnikach wywrócone samochody osobowe i ciężarowe, odrzucone tak, aby nie hamować ruchu ulicznego. Domy były puste, lecz ulicą płynęła nadal rzeka sprzętu. ludzi i koni.

Całe szczęście, że w tym czasie nie było żadnego nalotu. Miałem rozkaz ulokować batalion w ogrodzie obok " Domu Żołnierza " przy placu naprzeciw Kościoła Św. Floriana. Gdy tam przyszliśmy, żołnierze, nie czekając na śniadanie, walili się pokotem pod drzewa i zasypiali. Ogród, kiedyś bardzo ładny, był wydeptany i zniszczony. Widać było, że tu pod drzewami długi czas obozowały tabory. Kora drzew była nadgryziona. Tu stały głodne konie.

Rozlokowaliśmy się dość wygodnie. Tabor był niewielki, gdyż duża część koni była wybita podczas tych dwunastu dni walk. Cztery kuchnie i kilka biedek z amunicją oraz kilka z ckm'ami— oto wszystko. To było łatwo ukryć pod drzewami i zamaskować.

Po ulokowaniu batalionu poszedłem do dowództwa pułku, które się mieściło w Gmachu Dyrekcji Kolejowej. Gdy wyszedłem z ogrodu i znalazłem się na placu, uderzył mnie jakiś niesamowity ruch uliczny. Ludzie nerwowo i gorączkowo biegli, potrącali i zderzali się a następnie, nie przepraszając, lecz bez złości, jakoś odruchowo omijali się i biegli dalej. Tłum spoważniał, poszarzał i stał się jakiś posępny. Na jezdniach taksówki, samochody ciężarowe i osobowe zmieszały się z pojazdami wojskowymi. Długie sznury taborów wojskowych raz po raz niespodziewanie wynurzały się z bocznych ulic, aby szybko zniknąć. Czasami przejeżdżały baterie artylerii dudniąc działami i jaszczami.

Lecz oto gdzieś około godziny 10-ej, 11-ej ukazał się niemiecki samolot. . . . Jak jastrząb krąży nad polami i łąkami, szukając żeru, tak i ten pokryty krzyżami zbrodniarz, krążył nad bezbronnym miastem, szukając niezniszczonych miejsc.

Niedługo jednak krążył spokojnie. Nasza artyleria przeciwlotnicza widocznie przystrzelała się. Okrągłe plamki jak białe kawałeczki waty zaczęły ukazywać się tuż przy płatach i przed nimi. Samolot przypikował, lecz po kilku chwilach znów był otoczony skraweczkami białej waty, które jaskrawo odbijały się na niebieskim tle wrogiego nieba.

Samolot jeszcze raz przypikował a następnie pełnym gazem ze zdwojoną szybkością począł uciekać, pozostawiając za sobą fioletową smugę dymu. Kawałki waty szybko jednak dopędziły go. Kilka wybuchów obok niego, kilka przed nim i maszyna raptem zawahała się i jak raniony ptak pochylając się ze skrzydła na skrzydło zaczęła opadać.

Okrzyki triumfu pokryły plac przed kościołem św. Floriana, z którego obserwowałem ten obraz. Ludzie krzyczeli z radości. Oklaskom nie było końca.

Niedługo trwała radość. Oto samolot przybrał położenie pionowe. Z maszyny ukazał się płomień i samolot, wirując dokoła osi kadłuba, ogarnięty ogniem, pozostawiając długi warkocz czarnego dymu runął na ziemię.

Tłum spoważniał. Polacy zapomnieli, że to ginie ich najgroźniejszy wróg, widzieli tylko, że to pali się żywcem kilku ludzi. Głuchy wybuch baku z benzyną podobny do dalekiego strzału armatniego, świadczący o zetknięciu się maszyny z ziemią, tłum przyjął w grobowym milczeniu. Być może, że obecna wojna i bestialstwa zwyrodnialców z " Herrenvolku " nauczą nas jak należy ich traktować w czasie niedalekiego już odwetu.

Cisza jednak nie trwała długo. Nadeszło ocknienie i znów zaczęła się nerwowa, gorączkowa bieganina szarych, zgnębionych wojną ludzi. W tym dniu wrogi nam błękit nieba nie był więcej zakłócony. Wobec tego, że batalion miał zajmować stanowiska o zmroku, otrzymałem od dowódcy pułku pięciogodzinny urlop do Warszawy.

W tym czasie miasto było stosunkowo mało zniszczone. O masowych ruinach w przeciwieństwie do peryferii Pragi nie można było mówić. Gdzie niegdzie podziurawione ściany i wybite szyby —oto wszystko. Tramwaje jednak już nie kursowały. Tłum stracił na elegancji, panie nosiły chustki na głowach zamiast kapeluszy. Kawiarnie były na ogół puste, zamiast ciastek dawali w nich chleb z powidłami. Niektóre kawiarnie zamieniono na czołówki Czerwonego Krzyża. Trawniki na Krakowskim Przedmieściu były obrócone na cmentarz. Obok krzyży spokojnie wypasały się wojskowe konie. W pobliżu mostu Kierbedzia rzucały się w oczy potworne leje. Stacja kolejki przy tym moście była zdmuchnięta wybuchem 500 kilowej bomby lotniczej. Dużo statków i barek na Wiśle było potopionych, z wody sterczały kominy i pokłady.

O zmroku poprowadziłem batalion na wyznaczone stanowiska. Ulice, którymi szliśmy, były okropnie zniszczone. Całe szeregi domów były spalone i częściowo jeszcze dymiły. Rozżarzone plamy dopalających się domów pogłębiały ciemności. Wszędzie leżały trupy koni, wywrócone tramwaje i wozy, wszędzie już były barykady i rowy przeciwczołgowe. Tłumy ludzi, które widziałem w dzień, pochowały się do ocalonych domów i piwnic. Okna wszędzie były szczelnie zabite lub zatkane. Na pokaleczonych jezdniach, otoczonych czarnymi szkieletami budynków, które tak nie dawno tworzyły ulice, panowała martwa cisza, przerywana zrzadka wyciem psa. Od niektórych ruin szedł żar z tlejących pod kamieniami węgli. Wszędzie dawał się we znaki okropny zapach spalenizny.

Oto obraz bezbronnego i otwartego miasta, które jeszcze nie było przerobione na twierdzę, jak później zapewniali bandyci spod znaku swastyki. " Twierdzą " stały się już tylko ruiny Pragi, bowiem Praga jeszcze przed nadejściem wojsk nieprzyjaciela była miastem ruin za wyjątkiem pewnej części śródmieścia. Broniło się nie otwarte miasto, lecz gruzy i ruiny. I właśnie tych gruzów i ruin Niemcy nie potrafili zdobyć, a wymusili kapitulację codziennym masowym mordowaniem bezbronnej ludności Warszawy, przy użyciu ciężkiej artylerii i bomb lotniczych, które trwało około dwóch tygodni.

Niemcy widocznie chcieli zniszczyć wiadukt kolejowy, biegnący nad ulicą Radzymińską, co im się jednak nie udało, lecz za to dookoła było istne morze lejów. Na torze stały spalone wagony, niektóre z nich pospadały z toru i tworzyły zatory dla ruchu. Ze słupów telegraficznych zwisały całe pęki drutów, tworzących splątane kłębowiska. Czołgały się po ziemi i były jeszcze większą przeszkodą w ruchu ludzi i koni.

Do wyznaczonego mi rejonu doszedłem o godzinie 1 lub 2 w nocy. Z trudem rozmieściłem batalion w okolicznych budynkach, które ocalały. Tej nocy spałem najwyżej 2-3 godz., bowiem o świcie z dowódcami kompanii poszedłem wybierać stanowisko dla baonu. Przed nami na przedpolu były własne oddziały piechoty, których zadaniem było nawiązanie styczności z nieprzyjacielem i umożliwienie spokojnego wykonania rowów i umocnień. Bezpośrednio przede mną w odległości dwu km. były I i II bataliony naszego pułku, które nadeszły jeszcze wczoraj i tworzyły pierwszy rzut obrony pułku.

Zdążyłem jedynie wykonać prowizoryczne rowy i jakie takie stanowiska obronne. Już w godzinach popołudniowych zaczęły padać na Pragę pociski dolekonośnej artylerii. Pociski padały rzadko. Niemcy strzelali do śródmieścia Pragi, co pozwoliło nam kontynuować prace i umacniać się przez cały dzień do zmroku.

Dowództwo batalionu umieściłem w budynku szkolnym. Był to duży 3-piętrowy budynek przy końcu ul. Radzymińskiej. Jakim cudem ocalał, nie wiem, bowiem w pobliżu stojące domy były silnie uszkodzone lub nawet zupełnie zniszczone.

Pod wieczór tegoż dnia nadeszli Niemcy. Zaczęło się oblężenie Warszawy. W dniu 15 września nieprzyjaciel podciągał pod Pragę nieprawdopodobnie wielką ilość artylerii i wprost potworną masę amunicji.

Osłona pozycji głównej wycofała się bez walki, gdyż w planie obrony nie leżało bronić ani Ząbków ani Kawęczyna. Niemcy niezwłocznie zajęli te miejscowości, zainstalowali obserwację i nad Pragą rozpoczęło się istne piekło. Już w godzinach porannych gęste i olbrzymie słupy dymu zaczęły zasłaniać niebo. O godzinie 11 czy 12 naliczyłem około 50 pożarów. Potężne nawałnice ognia ciężkiej artylerii hulały po Pradze, raz po raz zawadzając o peryferie miasta, gdzie waliły się w gruzy resztki nędznych domków podmiejskiej biedoty, a poprzednie gruzy przeistaczały się w bezkształtne masy rozbitych cegieł i kamieni.

Żołnierze tulili się do ścian okopów, piasek osypywał się i niweczył całonocną pracę. Na łące bezpośrednio przed naszymi okopami potężne wybuchy wyrzucały olbrzymie fontanny ziemi, torfu i błota. Po każdym wybuchu deszcz mokrej ziemi i kawałków torfu oraz żwiru padał do rowów, zarzucając błotem ich załogę. Po południu nieprzyjaciel około dwu godzin bił po stanowiskach I i II batalionu naszego pułku. Będąc z tyłu w odległości 1-2 km., przez lornetkę widziałem dokładnie, jak poszła w gruzy rzeźnia położona tuż obok szosy na Radzymin.

Początkowo byłem tak naiwny i myślałem, że uda mi się wytrwać na dachu szkoły powszechnej, gdzie z jednym kapitanem dowódcą baterii ciężkiej, urządziliśmy punkt obserwacyjny. Lecz gdzie tam! Dookoła raz po raz padały pociski dziurawiąc ściany, rozwalając wnętrza mieszkań nauczycieli i sal szkolnych. Zresztą gęste pożary na przedpolu zasłaniały horyzont ścielącym się nad ziemią czarnym dymem. Gdzie niegdzie przez dym złowrogo błyszczały płomienie.

Kilka minut spokoju i oto huragan ognia zwalił się na nas. Schowaliśmy się na parter, gdyż w szkole nie było piwnicy, lecz i tam było istne piekło. Słychać było jak pociski padające tuż obok, odłamkami trafiają w mury, słychać było jak walą się całe kawałki ścian 2-go i 3-go piętra. Z sufitu sypał się tynk pokrywając grubą warstwą białego proszku wszystkie przedmioty, znajdujące się w dowództwie baonu. Telefon do dowództwa pułku i dowódców kompanii przestał działać. Lecz oto jeszcze kilkanaście wstrząsów całej kamienicy, przeraźliwy dźwięk lecących w kawałki nielicznych pozostałych szyb, głuchy łomot jakiejś walącej się niedaleko kamienicy i huragan ognia przeleciał.

Niemcy widocznie wydłużyli celowniki, aby taki sam huragan posłać na inny odcinek naszej obrony. Pobiegłem z adiutantem batalionu na najbliższy odcinek kompanijny. Żołnierze, przygwożdżeni poprzednio do ziemi, wstawali, strzepywali z siebie kurz i piasek i klęli pod adresem Niemców oraz ich matek.

Straty w batalionie były nikłe: 2 zabitych i 6-ciu rannych. Rowy strzeleckie mają to do siebie, że chronią o wiele lepiej, niż piwnice i budynki. Jeżeli pocisk uderzy 2-3 metry przed okopem lub za nim, załoga zostaje jedynie obsypana ziemią lub błotem. Aby pocisk mógł wyrządzić jakąkolwiek szkodę, musi trafić w sam okop, lecz i wtedy straty są niewielkie, gdyż zygzakowata linia rowu chroni naszych żołnierzy swymi załamaniami. Natomiast moralne działanie takiego ognia jest okropne. Ludzie psychicznie mniej wytrzymali po takiej nawałnicy dostają ataków nerwowych, wstrząsu mózgu, a nawet pomieszania zmysłów. Taki los spotkał lekarza batalionowego ppor. Dr. F. Człowiek ten nie wytrzymał nerwowo i już 4-ego września pod Mławą dostał pomieszania zmysłów.

" Druciki " szybko naprawili porwane połączenia telefoniczne z I i II batalionem, kryjąc się w przydrożnych rowach, sanitariusze nieśli rannych, którzy w zakrwawionych mundurach, z wyrazem cierpienia na bladych twarzach, czasami stękali, a czasem nie dawali znaku życia.

W tym dniu pod wieczór raz jeszcze taki sam huragan ognia i żelaza przelewał się przez mój batalion. Znów wali się tynk, znów kilka kawałków ścian kamienicy runęło, znów kilka trupów, znów porwane połączenia telefoniczne i huragan poniósł się dalej na Pragę a następnie jeszcze dalej na Warszawę. Noc minęła spokojnie. Rozmawiałem z dowódcą I batalionu przez telefon. Major mówił, że słychać wyraźnie dudnienie kół artylerii niemieckiej po szosie Zielonka—Kawęczyn—Ząbki a także warkot silników; albo podchodzą ich czołgi, albo uzupełniają sobie amunicję.

Arnold Jaskowski

W nr. 4, 5 i 9 " Polski Walczącej " z r. 1940 (wydawanej na terenie Francji) ogłosiliśmy tegoż autora cykl wspomnień p.t. " Bitwa pod Mławą."



Jan Sterling: *Warszawa—wrzesień 1939 (drzeworyt)*

Z życia obozów w Kanadzie

Rośnie nowe wojsko polskie!

Wśród gazet amerykańskich, które codziennie poczta wyrzuca na moje biurko, dziś znalazł się gość szczególnie miły: duży plik komunikatów i wiadomości, rozsyłanych do prasy amerykańskiej przez Wydział Prasowy Naczelnego Centrum Przyjaciół Żołnierza Polskiego w Kanadzie.

Na czele Wydziału Prasowego stoi Kazimierz Głuchowski, naczelny redaktor buffalowskiego "Dziennika Dla Wszystkich." Pismo to od dłuższego czasu stało się wśród polskiej prasy w Ameryce najżarliwszym propagatorem armii polskiej i tworzenia jej nowych oddziałów na drugiej półkuli. Z pośród wszystkich spraw polskich, które znajdują echo wśród Polonii amerykańskiej, wysunęło ono zdecydowanie na front naczelny sprawę potrzeb wojska polskiego, jako sprawę najbardziej doniosłą i zasadniczą w tej chwili. Z tą samą wewnętrzną siłą przekonania, zapałem i oddaniem się sprawie, redagowane są też wszystkie komunikaty Wydziału Prasowego.

Wprowadzają one nas dobrze w życie Obozu Polskiego w Kanadzie, ku któremu biegną wciąż myśli Polaków zarówno w Anglii, jak w Kraju, w Palestynie czy Szwajcarii. Do Obozu napływa przede wszystkim element młody, chłopcy urodzeni w Ameryce z rodziców polskiego pochodzenia. Są także uczestnicy armii Gen. Hallera z tamtej wojny.

Nie brak też jednak i bardziej egzotycznych ochotników. Jest jakiś obywatel Kuby, który w Niemczech widzi wrogów wolności całego świata, a ponieważ Kuba nie jest w wojnie z Niemcami, więc wstąpił do wojska polskiego. Są dwaj Czesi, ci marzą o sfinalizowaniu rozmów Rządu czeskiego z Rządem Kanady o tworzeniu wojska czeskiego. "Ja myslim—powiada jeden z nich—że tady byłaby sem jedna polska a czesko-slovenska armada."

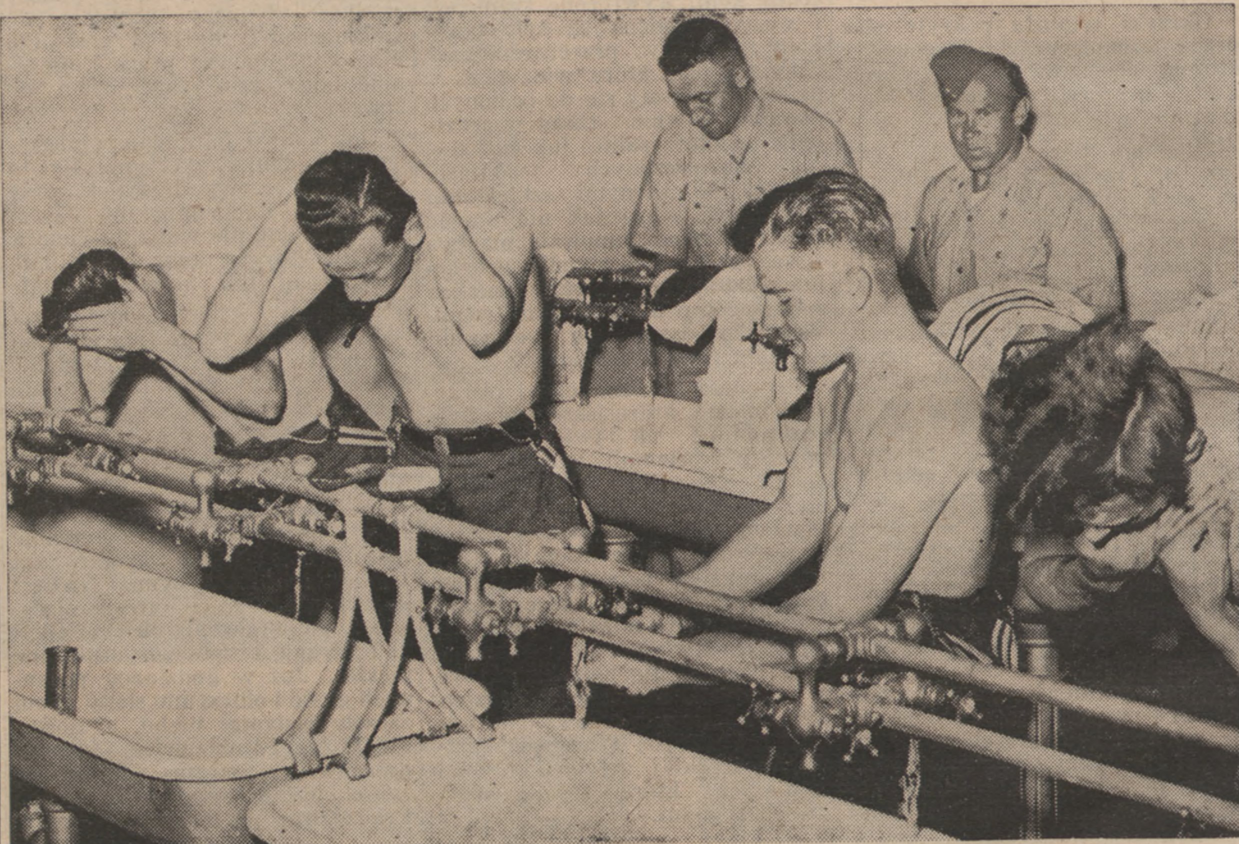
Większość ochotników napływa ze Stanów Zjednoczonych, rywalizują ze sobą, jak dotąd, dwa centra: New York i Chicago. Są i tacy, którzy napłynęli z Japonii. Są tacy, którzy po upadku Francji poprzez Casablankę, Rabat, Martynikę, dotarli do Ameryki i dziś zgłosili się w obozie.

Sensacją było pojawienie się dwunastu chłopaków z Południa. Są oni z Texas, Kentucky, Georgii, Kalifornii. Ci rwą się do polskiego lotnictwa. Każdy z nich był bodaj rok w *college*, niektórzy mają za sobą sporą ilość godzin latania. To już legenda polskiego lotnictwa, o którym głośno w prasie amerykańskiej, porwała tych młodych chłopców. Trzeba z nimi mówić po angielsku, bo po polsku nie umieją. Ale to nie przeszkadza, że działa na nich urok legendy polskiego lotnictwa, że zdają sobie sprawę z wkładu polskiego w pracę R.A.F.'u, że dobrze wiedzą, czym jest eskadra 303.

Następnego dnia zgłasza się nowy ochotnik, nazywa się Taber. "Pytany, co go skłania do wstąpienia do polskiego wojska, wyjmuje z kieszeni niedzielny dodatek do gazet angielskich i pokazuje nam całą stronę opisu wyczynów polskich lotników w Anglii."



Przygotowywanie stołów i ław do jadalni w Windsor



Umywalnia w koszarach windsorskich

Przyjazd Gen. Ducha, gorąco witanego, ożywił pracę w obozie. Krótkie nazwisko Gen. Ducha obudziło wielkie zainteresowanie wśród dziennikarzy angielskich, czekających na jego przyjazd. Dziwili się, że nie kończy się ono na "ski." Przetłumaczone na angielski jako "*Spirit*" z dodatkiem "*Fighting Spirit*" uspokoiło dziennikarzy. Uznali je oni za niezwykle dobrze dobrane i odpowiednie dla dążności wojska polskiego.

Pierwsze przemówienie generała wywarło korzystne wrażenie. Polski dziennikarz w Ameryce tak je charakteryzuje: "Słowa proste, żołnierskie padają jak pociski. Znać że mówi nie polityk, nie demagog, ale oficer bojowy, który wie, że obowiązek żołnierski i obowiązek obywatelski każdego Polaka każe działać a nie czcze rzucać frazesy." Gen. Duch miał wrócić z Ottawy 2-go sierpnia, dokąd wyjechał dla pertraktacji z rządem kanadyjskim.

Na 17-go sierpnia przewidziane są wielkie uroczystości w Windsorze. Ma to być święto zbratania Polonii amerykańskiej i kanadyjskiej z armią polską, uroczyste powitanie Gen. Ducha i jego misji wojskowej przez Polonię. Po mszy polowej odbędzie się wielka manifestacja, na której imieniem Rady Polonii będzie mówił Prezes Świetlik, w imieniu kobiet pani Honorata Wołowska, Prezeska Związku Polek i Dr. Teofil Starzyński, jako reprezentant Zrzeszenia Przyjaciół Żołnierza Polskiego. Na koniec przemawiać będzie Gen. Duch. "Głos jego będzie głosem tych, co całą przeszli Europę, co dziś w Szkocji, czy w Egipcie stoją, tych co walczą na morzach szerokich, i tych, co hen, pod niebem, cudów waleczności dokazują." 16-go sierpnia odbędzie się konferencja z prasą i obiad żołnierski dla organizacyj, prasy i duchowieństwa. Spodziewany jest udział licznych rzesz Polonii, a szczególnie młodzieży ze Stanów Zjednoczonych w tym pierwszym zetknięciu się z nową formacją wojska polskiego.

Ale nie manifestacje, choćby nawet tak celowe i potrzebne, jak ta, która ma się odbyć 17-go sierpnia, wypełniają treść życia codziennego w obozie w Windsor. 7-go lipca wydano żołnierzom broń, która nadeszła ze Stanów Zjednoczonych. Otrzymali oni tankietki. Ćwiczą już załogi wozów pancernych. Oddział kadrowy odbył 11-go lipca pierwsze manewry. Były to ćwiczenia polskiej zmechanizowanej kawalerii z takimże samym oddziałem kanadyjskim. Manewry te odbyły się na oczach olbrzymiego 30-to tysięcznego tłumu widzów z Windsor i Detroit. Oddziały polskie spisały się bardzo dobrze. "Kiedy rozpoczęto biegi tankietkami poprzez specjalnie kopane doły i wysoko sypane przeszkody, nasze tankietki poprzedzał czołg, który miał załogę kanadyjską, która walczyła we Flandrii. Ale nasi brali przeszkody nie gorzej od Kanadyjczyków, toteż kiedy major Turnbull, który tłomaczył przebieg ćwiczeń zaznaczył, że nasi chłopcy dopiero parę dni ćwiczyli z tankietkami, to oklaskom nie było końca."

Polacy amerykańscy starają się też myślą wybiegnąć naprzód, zdają sobie dobrze sprawę z nowych perspektyw, jakie zakończenie wojny może postawić przed Polonią Amerykańską. Komunikat Prasowy Centrum Przyjaciół Żołnierza Polskiego w artykule "My a nowa Polska" słusznie też podkreśla: "Musi się już dziś rozważać możliwości powrotu do Polski i znalezienia na jej terenach zarobku. Stworzenie planowego opracowania możliwości, które powstaną bezpośrednio po wojnie, powinno już być wzięte pod uwagę, by ich nie zmarnować, i należycie je wykorzystać."

To są jednak troski na dalszą metę. Dobrze, że o nich dziś już myśli się. One mogą scalić ideowo nowe wojsko polskie z dążeniami wszystkich Polaków.

Edward Żywoń

Listy zza oceanu

Enerson, Pa. 14-go czerwca.
Szanowny Panie,
Ja bym chciała pisać do polskich żołnierzy. Ja przesyłam swój adres. Ja się będe starała odpisać, jeśli kto do mnie napisze.

Z szacunkiem,
Zosia.

Miss Sophie Bolosky,
Enerson, Pa.
Foyette County,
North America.

* * *

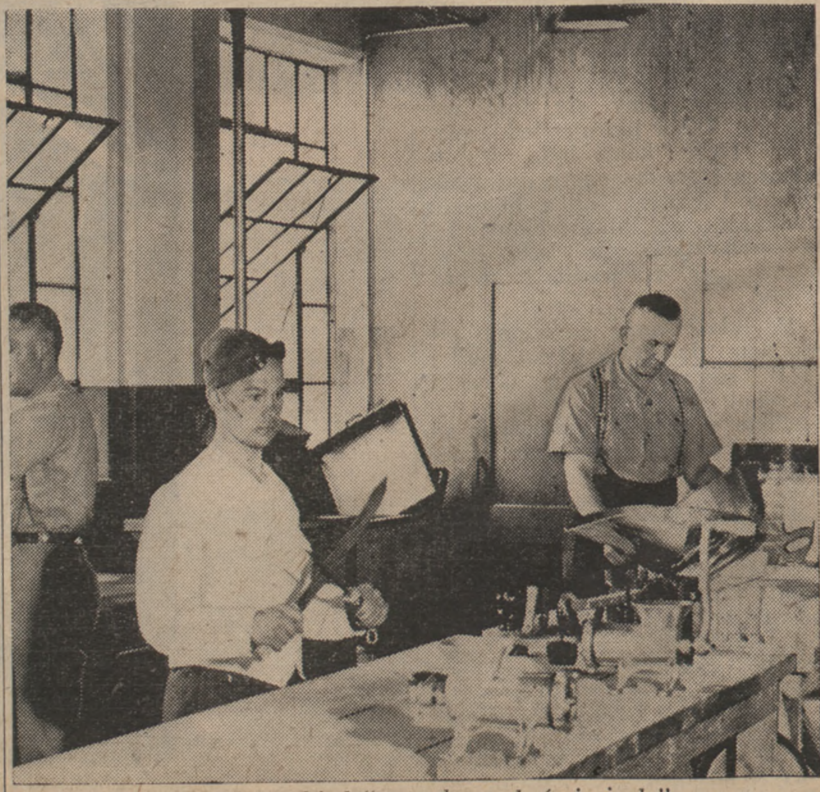
17 *czerwca* 1941 *roku*
Szanowna Redakcjo,
Zwracam się z gorącą prośbą o łaskawe nadesłanie adresu polskiego lotnika, z którym mogłabym prowadzić korespondencję. Tyle się o tej waleczności na ziemi angielskiej słyszy, że dusza rośnie z radości i dumy, że pomimo różnych przejść i przygód, odłączeni od Rodzin i Kraju Ojczystego—są wytrwali i nie załamali w sobie ducha wolności ale walczą z nadzieją lepszego jutra. Może jest niejaki p. Władysław Miłosz, lotnik. Przed 1939 *rokiem stacjonował w Lublinie. Znajomi z Polski pytają o niego. Szukam go więc przy pomocy W. Panów. Co będzie—to będzie—to proszę odpisać.*
Szanownym Panom życzę powodzenia w ich piśmie, które uświadamia pracę na wychodźstwie.

Z poważaniem,
G. Kokerniak.

Mrs. Genevieve Kokerniak,
2615, *Third Avenue,*
Watervliet, N.Y., U.S.A.



Naczynie przyszło!



Pierwszy obiad "na własnych śmieciach"

Z życia obozów w Wielkiej Brytanii

Odwiedziny u "bombardierów"





Wiosna wydobyła już z łąk angielskich wspaniałą, soczystą zieleń. Cisza spokojnego, słonecznego południa wisiała nad okolicą, którą przemierzaliśmy w upstrzonym wszelkimi wymysłami kamuflażu autobusie R.A.F., jadąc na przedstawienie do sławnych dywizjonów bombowych 300 i 301, obozujących "gdzieś w Anglii." Mijając łąki i pola nawet nie zauważyliśmy, kiedy wjechaliśmy w obręb lotniska i dopiero duże, zielono-szare bombowce, sprytnie rozrzucone na ogromnej przestrzeni, przypomniały nam, że jesteśmy na miejscu. Na lotnisku było pustawo w południowej porze, tylko przy maszynach tu i ówdzie uwijały się grupki mechaników. "Szykują aparaty do "roboty"—zauważył nasz przewodnik i opiekun ks. kapelan—pogoda , zapowiada się dobra, pewnie wieczorem znowu polecą."

Za chwilę wysiadamy i oto nasze lądowe, szare mundury giną w masie błękitnych strojów lotniczych. Powitania, zawieranie znajomości, potem obiad z lotnikami i pierwsze nieśmiałe, naiwne nieraz pytania: "jak to tam było?" Poprzedniej nocy bowiem gruntownie "robiono" Bremen; 11 maszyn polskich uczestniczyło w wyprawie. Wróciły szczęśliwie wszystkie, wielu uczestników nocnej eskapady siedzi z nami przy jednym stole. Już zdążyli przespać się trochę i teraz odpowiadają nam spokojnie, prosto, bez najmniejszego patosu:

"Poleciało się, zrobiło swoje, trasa znana, nic szczególnie ciekawego nie zaszło, trochę tam komuś podziurawiono skrzydła, przy lądowaniu rzucono na pola obok lotniska kilka bomb—wielkie rzeczy!"

"A ogień z ziemi był silny?"—dopytujemy ciekawie.

"Także nic szczególnego; owszem walili wcale "równo" jak zawsze nad Niemcami, ale to nie to piekło, które szaleje w takich okazjach nad Berlinem. Tam jest dopiero gorąco—nad Bremen było najwyżej ciepło."

"Kilku nowych "honorowych obywateli" przybyło obu dywizjonom po tej wyprawie."—zauważa beztrosko ktoś z gospodarzy. Nie bardzo rozumiemy z początku, co to znaczy, ale już świeżo "odkryty" znajomek ze Lwowa, młody obserwator, informuje nas cierpliwie:

"Każdy z nas, kto trzy razy "odwiedzi" miasto na terenie nieprzyjacielskim—zyskuje miano jego "honorowego obywatela." Mamy tu już kupę takich "zasłużonych" dla Kolonii, Bremen, Emden, Kilonii, Manheimu, Rotterdamu, nie mówiąc już o Calais, Boulogne, czy Brest."

Dowiadujemy się przy sposobności, że loty bombowe nad "porty inwazyjne" należą w opinii naszych gospodarzy do zadań "łatwych" i są rodzajem egzaminu wstępnego do wypraw nad Niemcy.

Słuchając tych opowiadań czujemy, że opanowuje nas co raz większy podziw dla tych ludzi, którzy w ciągu długich, nocnych godzin walczą w niepojętym dla wielu napięciu, a po wykonaniu zadania bojowego umieją być tak ujmująco serdeczni, tak szczerze skromni i bezpośredni.

Idziemy na przedstawienie czołówki. Już niewielka, ale bardzo miła, sala teatralna jest szczelnie wypełniona, przybyli bowiem wszyscy, którym obowiązki służby na to pozwoliły. Zaczynamy i od razu spostrzegamy, że to nie będzie zwykłe przedstawienie. Tyle serdeczności płynie z widowni, tyle wzruszenia widzimy, że prędko znika przedział między sceną a widzami. Wiersz "Lotnikom" porusza wszystkie serca—jego autor otrzymuje najwspanialszą nagrodę, o jakiej ledwie śmiał marzyć. A potem już śmiech wesoły zagospodarowuje się na dobre. W pewnym momencie, niespodzianie odzywają się umieszczone na sali głośniki i ktoś nosowym głosem, po angielsku oznajmia, że za chwilę zostaną wysadzone niewypały dwóch bomb niemieckich w pobliżu lotniska. Na sali śmiech, przedstawienie trwa. Upływa dłuższa chwila i nagle właśnie w momencie, gdy "prof. Icecream" wyłuszczał rozbawionym słuchaczom swoje poglądy na sprawy dyktatur, huknęło raz i drugi. Efekt był pierwszorzędny.

Czujemy się wśród braci lotniczej naprawdę doskonale. Jesteśmy jakby na innej planecie, gdzie przyjaźń nie jest czymś rzadkim, ale codziennym krzepiącym chlebem, gdzie nadludzkie trudy i niebezpieczeństwo stale grożące, wykrzesują w sercach ludzkich takie uczucia, które nie wszędzie i nie zawsze znaleźć można. Tego nie podobna opisać, ale to można odczuć, to nas podnosi na duchu i napełnia ufnością.

Ale to jeszcze nie koniec wzruszeń dnia. Dowiadujemy się bowiem, że w nagrodę za rozweselenie braci lotniczej, będzie nam wolno być na starcie maszyn do lotu bojowego. Dokąd ten lot będzie skierowany jeszcze nie wiemy, ale zagadkowy uśmiech dowódcy dywizjonu zapowiada, że to będzie coś niezwykłego. Ogarnia nas radość zmieszana ze wzruszeniem, kiedy w licznym towarzystwie idziemy na miejsce startu. Zapada już wieczór, niebo trochę zachmurzone, ale widać, że pogoda wytrzyma. Gdzieś zdaleka dochodzi łoskot motorów.

Dowódca dywizjonu 300 odchodzi do "*operation,*" dowódca drugiej jednostki, poufale i serdecznie "Al Capone" przez podwładnych nazywany siedzi już w samolocie, noszącym wdzięczne imię: "Stasia." Już wiemy, że tego wieczora leci 8 maszyn, już wiemy, że celem ich będzie serce znienawidzonego wroga—Berlin. Pierwsza maszyna już gotowa do lotu, przy innych mechanicy udzielają ostatnich wyjaśnień pilotom i obserwatorom. Rzuca się w oczy niezwykła serdeczność w obcowaniu mechaników z oficerami.

"Proszę pana—powiada ktoś z oficerów—to są rzeczy głęboko wzruszające. Ile trudu, ile niezmordowanej troskliwości, ile umiejętności, która zadziwia Anglików, wkładają nasi mechanicy w swoją pracę. I zawsze jeszcze pamiętają, aby obserwator znalazł na swoim stoliczku tabliczkę czekolady, czy jakiś miły drobiazg, aby podłogę przykryć jakimś kilimkiem. Starają się okazać serce i to wszyscy wysoko cenimy. Pomiędzy nimi a tzw. "personelem latającym" wytworzyło się u nas już nie normalne koleżeństwo broni, ale po prostu braterstwo."

A nie zawsze idzie tylko o rzeczy drobne: pewnego rana, kiedy wracające z "roboty" maszyny musiały lądować w okropnej, gęstej mgle, zdarzyła się katastrofa. Z płonącego samolotu wyczołgało się dwóch rannych oficerów załogi. Żar buchał tak straszny, że niepodobna było zbliżyć się do miejsca wypadku; na dobitek zaczęła już eksplodować amunicja c.k.m. i zdawało się, że ranni zginąć muszą bez ratunku. W takiej chwili jeden z sierżantów "personelu ziemnego," nie zważając na niebezpieczeństwo, rzucił się na ziemię i osłaniając własnym ciałem rannych odciągnął ich na bezpieczne miejsce. Tak to bywa u lotników. Więź serdecznego oddania łączy wszystkich. Dowódca to jednocześnie najlepszy, najbardziej doświadczony kolega. Kiedy pierwszy raz lecieliśmy na Berlin "Stary" (dowódca dywizjonu 300) pierwszy skoczył w szalejące piekło ognia artyleryjskiego, "Al Capone" (dywizjon 301) robi to samo. Taka atmosfera dodaje nam sił do pracy, udziela się wszystkim, reguluje nasze koleżeńskie stosunki z Anglikami."

Czas było jednak kończyć rozmowy, gdyż nadchodziła chwila startu. "Stary" powrócił już z "*operation,*" przyjechała polowa radiostacja, a opancerzony wóz ubezpieczający start, skierował ku zachmurzonemu niebu żądła swoich karabinów maszynowych. Przy jednej maszynie grupka kolegów: domyślam się, że siedzi tam nasz krajan Bolek, do którego wszyscy mamy najwięcej "rozpędu." Nie mylę się. Właśnie toczy się szeptem następująca "fachowa" rozmówka:

"Boluś, a masz ty wśród bomb jakąś "odpowiedzialną" śliwkę"?

"Owszem jest jedna całkiem do rzeczy—również szeptem odpowiada Bolek.

"To rzuć ją na intencję naszego miasta, za Lwów—pamiętaj"!

I cicha zupełnie odpowiedź: "Dobrze"!

Nadchodzi moment startu. Polowa radiostacja wiedzie rozmowy:

"No, jak tam bracie, jesteś gotów?"

Odpowiedzi, rzecz prosta słyszeć nie możemy, ale po chwili pada komenda.

"Kołować na start!"

Wzmaga się łoskot silnika. Milkną nawet szepty. Wzruszenie opanowuje nas zupełnie. Myśli lecą do Ojczyzny. Gdyby nasi zamknięci w obozach jeńców, żołnierze z pod Kutna, Warszawy, Lwowa mogli widzieć to, na co my patrzymy. Gdyby ci wszyscy, którzy w krwawym wrześniu na próżno szukali na polskim niebie polskich samolotów, mogli przeczuć, że oto nadchodzi dla Berlina noc grozy, których tyle przeżyć musiała Warszawa.

Na lotnisku zapala się długi rząd świateł startowych. Pierwsza maszyna odrywa się od ziemi, jak wielki ptak mknie wzdłuż szeregu świateł, wreszcie ukazuje się na krótką chwilę na tle horyzontu. Startuje druga, potem trzecia, czwarta. I znowu komenda: "Kołować na start" dla piątej i szóstej, przyjazne słowa pożegnania i sakramentalne: "*Good luck.*" Ostatni samolot rozpłynął się w chmurach widnokręgu, zgasły światła startowe i ciemności zapanowały na lotnisku. Teraz dopiero zaczyna się praca prowadzenia z "*operation,*" długie, męczące oczekiwanie na powrót.

Wracamy na chwilę do kasyna nie ochłonąwszy jeszcze z wrażeń przeżytych. Jeszcze chwila rozmowy i odjeżdżamy uspokojeni słowami kronikarza dywizjonu, autora doskonałego pamiętnika: "równo" wystartowali — wrócą szczęśliwie."

I wrócili. Na drugi dzień w pamiętniku Bolek - Lwowianin zapisał: "O godzinie 1. 38 rzuciłem najcięższą z moich bomb na Berlin—za Lwów."

Ludwik Bojczuk

Święto pociągu pancernego

Zrządzeniem losu i rozkazem wojskowym nadmiar oficerów, różnych wiekiem i stopniem do kapitana włącznie, z różnych rodzajów broni, rezerwa i zawodowi—obsadził pociągi pancerne w Anglii. Oficerowie ci pełnią służbę szeregowców, t.zn. wykonują to samo, co normalnie robią szeregowcy. Trudno się było przyzwyczaić do takiej roboty, a i zżycie się wzajemne ludzi o różnorodnych horyzontach myślowych i budowie duchowej, nie było łatwe.

Po przeszkoleniu w Szkocji, kiedy przyszła kolej i na nasz pociąg, ruszyliśmy na najważniejszy odcinek angielski. Tu rozpoczęła się praktyka, jazda pociągiem, zapoznanie się z istotnym zadaniem taktycznym pociągu pancernego, orientowanie się w terenie i t.d. Obok tego w programie zajęć jest musztra z karabinem, marsze, nauka o broni maszynowej, język angielski, warta i pogotowie, nauka jazdy samochodowej. Do tej jazdy samochodowej parł silnie pewien porucznik-inżynier. Rozumował w ten sposób: w Anglii każda niemal dziewczyna prowadzi samochód, wstyd zatem, żeby oficer polski nie znał tego "kunsztu," po drugie, umiejętność prowadzenia pojazdu mechanicznego może się przydać i w wojsku.

Po kilku tygodniach wspólnej jazdy z załogą angielską, pociąg został przejęty całkowicie przez Polaków. Mamy wyjazdy na wyznaczony odcinek, gdzie odbywa się bądź to strzelanie z karabinów maszynowych, bądź też jest do wykonania jakieś inne zadanie. Pociąg zorganizował chór, który śpiewa w miejscowym kościele katolickim.

* * *

Dzień był ciepły, lipcowy. Tygodniowy plan zajęć nie przewidywał wyjazdu pociągu tego dnia na zwykłe ćwiczenia. W godzinach popołudniowych otrzymaliśmy rozkaz przygotowania się do wyjazdu, a zatym nowy trud z zabieraniem broni, wkładaniem hełmów w dzień gorący, maska i płaszcz przeciwiperytowy i t.p. Ale rozkaz rozkazem i każdy zabiera się do roboty.

Szef załogi przypomina, że należy się ogolić. To nie budzi żadnych podejrzeń. Golimy się zatem. Po przybyciu na pociąg pełnego składu załogi, odbywa się ustawianie broni, amunicji, sprawdzanie telefonów. Chwilę czekamy, poczem wsiadamy. Gwizd, pociąg pancerny rusza.

W pewnej miejscowości zatrzymujemy się na małej stacyjce. Nasza załoga wysiada i ustawia się w dwuszereg na peronie. Po paru minutach zajeżdża kilka samochodów wojskowych i cywilnych. Wysiadają Premier Churchill z żoną i król Jugosławii, Piotr. To było dla nas Polaków miłą niespodzianką. Dowódca załogi zdał raport królowi, który w towarzystwie premiera W. Brytanii przeszedł przed frontem oddziału. Wszyscy dostojnicy wsiedli następnie do salonki i ruszyli za naszym pociągiem.

Zatrzymujemy się gdzie zwykle odbywają się nasze strzelania do tarcz. Z salonki wyskakują wszyscy przybyli. Pada rozkaz przygotowania do strzelania a po chwili komenda: ogień krótkimi seriami. Zaterkotały karabiny maszynowe i działka przeciwpancerne. Widać było pociski padające po piasku na wprost tarcz. Strzelanie trwało około pół godziny w obecności pilnie obserwujących dostojników oraz kilku wyższych wojskowych angielskich, polskich i jugosłowiańskich.

Premier Churchill zauważył, że "*very good.*" Po skończonym strzelaniu premier przeszedł koło pociągu a zwracając się z uśmiechem w naszą stronę pokiwał nam ręką i rzekł: "Czołem." Była to bodaj jego pierwsza wizyta w sławnych angielskich pociągach pancernych obługiwanych przez Polaków.

Dla nas był to dzień niezwykły, pośród tylu innych szarych dni.

Kz

Do Redakcji tyg. "Polska Walcząca."

Bardzo będziemy wdzięczni Sz. Panom, gdy będą łaskawi wysłać choć czasem numera "Polski Walczącej" pod niżej wskazanym adresem. Pracując społecznie od kilkudziesięciu lat przekonałem się, że nic nie przemawia tak skutecznie do rodaków, jak pismo pochodzące wprost z terenu walki. Przygnębienie i ospałość wśród kolonii polskiej w Argentynie ustępuje miejsca nadziei rychłego zwycięstwa.

Dużo otuchy dodała ostatnio wprowadzona przez Posła R.P. rejestracja wojskowych. Masowo śpieszą Polacy do wypełnienia tej na razie formalności. Braku prasy krajowej nie zastąpią nigdy miejscowe wydawnictwa, które nie są w stanie informować polską kolonię, tak jak to jest niezbędne w obecnej chwili.

W roku 1938-9 będąc prezesem miejscowego Tow. Polskiego zebrałem wśród kolonii sumę około tysiąca pesów na dozbrojenie armii i budowę Domu Polaków z Zagranicy. Obecnie nie zebrano tyle na rzecz ofiar wojny. Nie mamy prasy krajowej, któraby tak rzeczowo i umiejętnie to robiła, jak wówczas prasa polska.

Łączę wyrazy poważania i kreślę się z szacunkiem.

F. Dembicki

Adres: Sinor Francisco Dembicki, Calle Diaz Veley 254, Rosario Santa Fe, Argentina.

* * *

Skrzynka pocztowa

Szanowna Redakcjo,

Pozwalam sobie zapytać, czy mógłbym za pośrednictwem Waszej Redakcji uzyskać informacje w sprawie wstąpienia do polskiej marynarki wojennej.

Jestem w armii czechosłowackiej. Moim marzeniem była zawsze marynarka wojenna. Chciałbym też po wojnie zostać w marynarce. Nasze państwo nie ma obecnie marynarki, przeto prosiłbym Was o udzielenie informacji w sprawie wstąpienia do bratniej polskiej marynarki wojennej. Jestem wyszkolonym radiotelegrafistą. Przed wojną zacząłem studiować elektrotechnikę i astronomię. Jeśli chodzi o wiek, to jestem urodzony 6.IV.1921 roku.

Dziękuję Wam już teraz za informacje, które za Waszym pośrednictwem będę mógł uzyskać.

Odpowiedź proszę wysłać pod adresem:

(*nazwisko i adres*)

* * *

Podczas wojny nie tylko armia musi być poddana twardej dyscyplinie ale i społeczne życie cywilne. Dziś nie tylko armie walczą ale i narody całe.

Niemcy przypuścili nowy szturm propagandowy—na całym świecie, 1) że Polacy popełniali mordy na niewinnych Niemcach, 2) że Polska nie jest zniszczona, nie było mordowania niewinnej ludności cywilnej, nie rabowali, nie kradli, nie gwałcili i t.p., 3) że Niemcy chcą pokoju i dobrobytu dla Europy i świata, 4) że nie ma już o co walczyć i t.d.

Objawy zasugestionowania bezkrytycznych głów widzimy choć by w wypocinach niektórych publicystów.

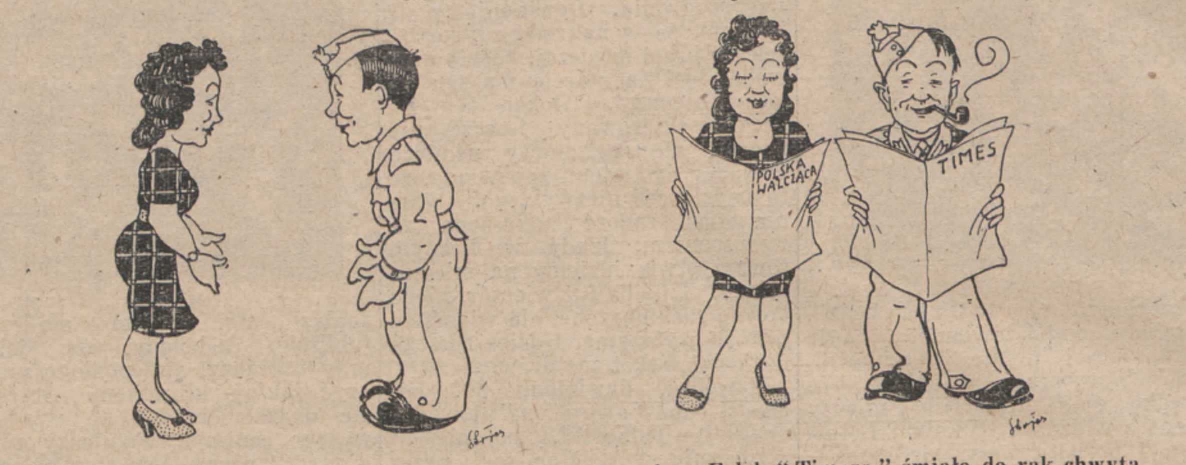
Nie wolno nam przeoczać i zaniedbywać żadnej sprawy, żadnej okazji do ataku na taką propagandę, do wyprowadzenia ludzi z tego szkodliwego obłędu, zwłaszcza jeśli ten obłęd ma charakter masowy. Używajmy w słowie i piśmie wyrazów rzeczowych, ale mocnych w treści. Nie wystarczy, zdaniem moim, przekonywać w pismach codziennych czy periodykach, lecz trzeba osobiście atakować listem autora wraz z rzeczowymi dowodami i argumentami.

Musimy jak nigdy skoncentrować się, nie tracić czasu na jakieś pozory pracy, zmobilizować wszystkie siły intelektualne i fizyczne do straszliwej walki na wszystkich odcinkach.

Pamiętajmy, że obecna wojna jest decydującą dla naszego narodu i państwa, że mamy wspólnie ze sprzymierzeńcami zmiażdżyć pruskiego gada, że to mu się należy od czasów Gerona, że walczymy o wielką Rzeczpospolitą Polską, o wielkość polskiego narodu, i że jedynym celem naszego teraz życia jest zwyciężyć lub zginąć. Nie marnujmy czasu, energii na nieprzemyślane rzeczy a twardo, mocno chwyćmy broń i pióra w rękę. Uderzać mocno w najsłabsze punkty przeciwnika. Atak ma być skoncentrowany, walka—nowoczesną bronią. Nieprzyjaciel musi zginąć od własnej broni.

Śreniawita

Czas robi swoje



Gdy rok temu do Szkocji Felek przybył z wiarą, Dogadać się z Margaret nie mógł żadną miarą.

Po roku—Felek "Timesa" śmiało do rąk chwyta, Szkotka "Polskę Walczącą" dla odmiany czyta!

rysował i zrymował Józef Stojek

SPIS RZECZY

WYDAJE BIURO PROPAGANDY I OŚWIATY.
Adres Redakcji (Editorial Offices): 5, Portugal St., W.C.2. Tel., HOLborn 7600. 1-e piętro.
Redaktor przyjmuje w soboty od godziny 11-ej—13-ej.
Przedruk dozwolony tylko za podaniem źródła.

Warunki prenumeraty: Miesięcznie z przesyłką pocztową—sh.1. Kwartalnie z przesyłką pocztową—sh.3. Należność prosimy wpłacać przekazem pocztowym (Postal Order) pod adresem Administracji.

Ceny ogłoszeń: 1 cal przez jeden łam—sh.15 0d. bez względu na stronę, drobne ogłoszenia—sh.6 0d. za 1 cal. Ogłoszenia o poszukiwaniu pracy i osób 50% taniej.

Adres Administracji (Business Offices): 63, Lincoln's Inn Fields, W.C.2. Tel., Chancery 5505 i 5506. Adres Agenta dla ogłoszeń angielskich (Advertisement Offices) 44, Brook Street, W.1. Tel., MAYfair 6543.

Printed for the "Polska Walcząca," by St. Clements Press (1940), Ltd., Portugal St., Strand, W.C.2.